

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 4



**Wróżka, która
widziała za dużo**

WIELKA LITERA



MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Wróżka, która
widziała za dużo**

Projekt graficzny okładki
Porysunki / Magda Danaj

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Anna Burger
Teresa Zielińska

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN ISBN 978-83-8032-828-0



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.

odwiedź nas na



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 1

Nie wiem, jak wyobrażacie sobie magię. Być może kojarzy wam się z fatamorganą, pustynią i dżinem wymykającym się z lampy Aladyna. Może z nastrojowymi wrzosowiskami, na których tańczą wróżki i elfy. A może ze starymi domostwami, w których skrzypią trzystuletnie podłogi, a po korytarzach przemykają zjawy dawno zmarłych służących.

W każdym razie bylibyście rozczarowani otoczeniem magii, z którą ja miałam właśnie do czynienia.

Po wyjeździe z miasta trzeba było minąć ostatnie osiedla stojące wśród szczerych pól, przejechać obok hurtowni materiałów budowlanych i hydraulicznych, by w końcu dotrzeć do ogródków działkowych z jednej strony i ciągu warsztatików przeżywających okres świetności pół wieku temu z drugiej. Pośrodku tego wszystkiego stał piętrowy budynek biurowy z zaciekami na tynku i reklamami biznesów, które miały swoje pięć minut całe dekady temu. „Najtrwalsze dyskiety do twojego komputera” – zachęcała jedna z nich, wciąż czytelna. Wyszczerbione schodki prowadziły do metalowych drzwi wejściowych z pękniętą szybą, a przed nimi stał Jan Kowalski.

Mój nowy zleceniodawca nie tylko nazywał się jak typowy Polak, ale i tak wyglądał. Przynajmniej taki Polak z memów. Po pięćdziesiątce, z sumiastymi wąsami i siwiejącymi blond włosami zaczesanymi na bok z eleganckim przedziałkiem, w szortach i przyciasnej koszuli, której guziki rozchodziły się na brzuchu, z foliową torbą w ręce. Na nogach miał, oczywiście, sandały i nieskazitelnie białe skarpetki. Zapewne pod kolor najnowszego mercedesa, obok którego zaparkowałam swojego forda mustanga.

– Zapraszam w moje skromne progi – uśmiechnął się Kowalski i szarpnął za drzwi, które jednak tak łatwo się nie poddały. Szarp-

nał znowu. Po drugiej stronie pojawił się wąty, łysy staruszek i próbował pchnąć je w naszą stronę. W końcu udało się i drzwi stanęły otworem.

– Niedługo się naprawi – westchnął Kowalski i klepnął starszego pana w ramię. – To jest pani Łucja Słotka, będzie tu pracować, proszę wpisać ją na listę – polecił.

Staruszek zniknął w mikroskopijnej dyzurce i wychynął z niej z antycznie wyglądającym zeszytem. Na okładce wykaligrafowano starannie słowa: „Księga wejść i zejść”. Mężczyzna ją otworzył i wpisał: „Łucja Słodka”.

Zajrzałam mu przez ramię.

– Lucja – poprawiłam. – I Słotka, przez „t”.

– Zapisałem. – Spojrzał na mnie, a właściwie gdzieś obok, bo najwyraźniej nie tylko niedosłyszał, ale również niedowidział.

– Pan Zdzisław jest oddanym pracownikiem od wielu lat – tłumaczył Kowalski, kiedy szliśmy korytarzem w kolorze yellow bahama, bardzo modnym w latach siedemdziesiątych, dziś określanym częściej jako sraczkowaty. – Ale on i tak pani nie zapamięta. Dwa lata zajęło mu zakodowanie sobie, kim jestem. Niemniej bardzo przykłada się do pracy.

Weszliśmy po schodach z lastryko na czwarte piętro. Bariierka zaczynała rdzewieć, farba olejna odpadała ze ścian. Pod yellow bahama była wściekła zieleń. Doszłam do wniosku, że w tym zestawieniu sraczkowaty nie jest taki zły.

– Niedługo się odmaluje. – Kowalski machnął ręką, łapiąc moje spojrzenie. – Pewnie jest pani zaskoczona. Zapewne inaczej wyobrażała sobie pani centrum magii. No, ale jesteśmy na miejscu.

Stanęliśmy przed drzwiami ze sklejki. Lata temu jakiś interesant najwyraźniej postanowił sforsować je za pomocą stopy rozmiaru czterdzieści pięć lub większej, po której zostały dwie malownicze dziury niemal na wylot.

– Niedługo się wymieni – zapewnił Kowalski.

Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Dwoma pinezkami przypięto do nich kartkę o treści: „Magia Kowalski sp. z o.o.”.

– Witamy w naszym skromnym *call center* – oznajmił właściciel.

Rozdział 2

Jeśli spodziewaliście się większej dawki magii we wnętrzach „Magii Kowalski”, to będziecie zawiedzeni. Znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu z dwiema kanapami i kącikiem kuchennym. Kanapy wyglądały, jakby jeszcze chwilę temu stały w mieszkaniu czyjejś prababci, natomiast na ścianach, również pomalowanych na olejno, poprzyklejane były zdjęcia dziewczyn. Naturalnej wielkości. Wszystkie cierpiały na coś, co można by określić jako poważne kłopoty z odzieżą. Mimo wyraźnych wysiłków z ich strony różne elementy garderoby zsuwały im się z każdej wypukłości. A posiadały tych ostatnich naprawdę sporo. W odróżnieniu od ubrań. Trzeba jednak docenić fakt, że żadna część garderoby nie zsunęła się całkowicie.

– To też niedługo się wymieni. – Kowalski pochwycił moje spojrzenie. – Zanim założyłem „Magię Kowalski”, prowadziłem tu „Girls Kowalski”. Naprawdę się kręciło, nawet miałem kanał w telewizji kablowej. Żeby pani widziała, co tu się działo! Dziewczyny udawały, że zlatują z nich ciuchy. Ludzie szaleli. Dzwonili bez ustanku. Dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć za minutę albo nawet dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć, w wersji premium. I doradzali dziewczynom, co mają zrobić. To znaczy oczywiście chcieli je rozebrać, a nie ubrać.

– Oczywiście. – Skinęłam głową.

– Do dziś pamiętam, jak klienci emocjonowali się przez telefon i krzyczeli: „Przetnij to ramięczko!”. Bo dziewczyny udawały, że wszystko im się zaplątało, a one chcą się tylko ubrać.

– I faktycznie się ubierały?

– A skąd! Nigdy. Wspaniały interes – rozmarzył się Kowalski. – Niestety pojawił się internet i od tamtej pory każda dziewczyna może leżeć na swoim łóżku, udawać, że coś jej się zsuwa,

i filmować się telefonem. – Posmutniał. – Kiedyś sto dziewczyn tu pracowało, na trzy zmiany, da pani wiarę? Potem było coraz gorzej. Seksem, niestety, mógł zająć się każdy. W końcu zostały mi tylko trzy dziewczyny i zamknąłem „Girls Kowalski”. Wtedy przerzuciłem się na magię. Gdzieś tak w dwa tysiące piątym. Ludzie chcą poznać przyszłość, pani Łucjo, i to zawsze.

– Lucjo – poprawiłam. – Oczywiście.

– Zaraz panią oprowadzę. – Biznesmen zatarł dłonie. – Otworzyłem jeszcze kilka innych wróżebnych *call center*. Konkurencja złośliwie mnie szkaluje, że tworzę farmy wróżek, ale skoro jest zapotrzebowanie, to Kowalski stara się je zaspokoić. Dobrze mówię?

Nie zdążyłam zareagować.

– No, nie jest, rzecz jasna, idealnie – westchnął melodramatycznie. – ZUS-y, KRUS-y, PIT-y, CIT-y, umowy, naprawdę państwo nie dba o drobnych przedsiębiorców. Ale jakoś udaje się zarobić na chleb z masłem.

Zastanawiałam się, czy biały mercedes był chlebem, czy masłem, ale nie podjęłam tematu.

Tymczasem otwarły się drzwi do toalety i ukazał się w nich młody człowiek w bluzie z kapturem. W ręku trzymał kubek z kawą plujką. Nawet z miejsca, gdzie stałam, widziałam wyraźnie oblepiające ścianki fusy.

– O proszę, to pan Euzebiusz, jeden z naszych wróży – ucieszył się Kowalski. – Poznajcie się. To pani Łucja Słotka, Home Disaster Manager.

– Lucja – poprawiłam.

Młody człowiek, który uścisnął mi rękę, wyglądał na studenta z ledwie sypiącym się zarostem.

– Euzebiusz jest wróżem zapasowym – wyjaśnił Kowalski. – Czasem mamy takie obłożenie dzwoniących, że pracownicy nie wyrabiają. Nie ma kiedy wyjść do toalety czy na papierosa, bo telefon wciąż dzwoni, a czas to przecież pieniądz. Więc jeśli zdarzy się taka sytuacja, że mamy szczyt i wszystkie linie zajęte, a wró-

zka musi mieć chwilę przerwy, to wchodzi Euzebiusz i ją zastępuje. Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś moje pracownice zatrwały się cateringiem. Telefon dzwonił, ludzie chcieli poznać przyszłość, a wróżki stały na zmianę w kolejce pod sra... to znaczy kibelem. No, nie będę rozwijał tematu. Razem z żoną staraliśmy się ogarnąć sytuację. Ale to naprawdę nie jest proste, ta przyszłość. I wtedy znalazłem Euzebiusza. Współpraca bardzo dobrze nam się układa. Zwłaszcza że on studiuje marketing, więc ma przy okazji dobre pomysły biznesowe. No i jako specjalista od marketingu jest wszechstronny.

– Każdy w tej branży musi to mieć. – Euzebiusz machnął energicznie ręką. Resztką kawy w kubku niebezpiecznie zachlupotała. – Jednego dnia sprzedaż paliw, a drugiego pieluch.

– Niech pan uważa z tą kawą – pouczył go Kowalski. – Bo już dwa razy w tym roku praliśmy przez pana wykładzinę. W każdym razie – zwrócił się do mnie – Euzebiusz ma tutaj szansę rozwinąć talenty. Jednego dnia zastępuje tarocistkę, a kiedy indziej wróży ze szklanej kuli. Właściwie tak samo jak w marketingu.

Wtem prawie jednocześnie otworzyły się drzwi z lewej i prawej strony korytarza.

Z tych z lewej strony wyszła wysoka ciemnowłosa kobieta w powłóczystej czarnej szacie i z diademem na głowie. Z drzwi po prawej natomiast – okrągły mężczyzna z łysiną, zaczesany na pożyczkę. Też był cały na czarno: w czarnym golfie i czarnej skórzanej kurtce. Jedyny akcent kolorystyczny stanowił złoty łańcuch na szyi.

– Poznajcie panią Łucję Słotką – rozpromienił się Kowalski. – Zajmie się... eee...

– Łucję – pomogłam mu. – Optymalizacją.

– Właśnie. Zoptymalizuje „Magię Kowalski” – przytaknął mój zleceniodawca. – Pani Łucjo, to jest wróżka Eulalia, nasza wspaiała specjalistka od tarota, a to wróż Eugeniusz, niezwykle jasnowidz, który widzi przyszłość.

– Też mi coś! – prychnęła Eulalia, mierząc Eugeniusza nienawistnym spojrzeniem, zanim po raz setny zdążyłam poprawić Kowalskiego w kwestii mojego imienia. – Przyszłości nie da się zobaczyć.

– Może ty nie potrafisz. – Wróż wzruszył ramionami, ignorując jej spojrzenie. – Ja ją widzę.

– Niemożliwe! Każdy, kto tak twierdzi, kłamie. Przyszłość nie jest ustalona!

– Dla ciebie – wykrzywił się Eugeniusz.

– W przyszłości jest zbyt wiele zmiennych. Można przepowiedzieć, co prawdopodobnie się stanie, ale nic nie jest pewne.

– Ależ jest.

Nad drzwiami, z których wyszła Eulalia, zapaliła się lampka. Kowalski trącił Euzebiusza w ramię.

– Telefon.

Wróż zapasowy narzucił na siebie zdjętą przez Eulalię szatę i zniknął za drzwiami.

– Nic nie widzisz, wymyślasz na poczekaniu – fuknęła tymczasem Eulalia do Eugeniusza.

– Mądrała się znalazła. Mam przypomnieć, jak zobaczyłaś w kartach, że żona mnie kocha? – zirytował się jasnowidz.

– Skąd miałam wiedzieć, że Rycerz Mieczy to sąsiad z dołu – obruszyła się wróżka. – Nie trzeba było mówić, że jesteś przebojowy. Tymczasem okazało się, że jesteś kartą Głupiec.

– Ja nie wytrzymam w takiej atmosferze! – poskarżył się Eugeniusz.

– Jak jesteś taki jasnowidz, to trzeba było zobaczyć tego sąsiada – uśmiechnęła się złośliwie Eulalia.

– I zobaczyłem, ale myślałem, że po prostu przyszedł pożyczyć jajka – prychnął wróż.

– Jajka, ha, ha, ha – szydziła Eulalia.

– Bądź przeklęta, a twoje moce niech szeszczą i znikną! O ile jakieś masz. – Eugeniusz wlepił gorejące oczy w koleżankę.

– Niech spadnie na ciebie pomsta Wielkiego Maga! – Eulalia stanęła naprzeciwko wróża. – Niech karty tarota rzucają na ciebie klątwę.

– Bardzo proszę, kochani, dajcie spokój! – Kowalski ustawił się między nimi i próbował zasłonić jedno przed drugim.

– Niech pan nie staje na drodze klątwy, bo może spaść na pana – ostrzegł go Eugeniusz.

Tymczasem otwarły się drzwi do pokoju Eulalii. Euzebiusz wyszedł, ściągając szatę.

– To Irena? – zapytała wróżka.

– Janusz nie zadzwonił – przytaknął Euzebiusz. – Ani nie napisał, chociaż miał dziś przyjść. Wyszła jej Wieża, czyli naprężenia, zmiana.

– Co za brednie! – prychnął Eugeniusz. – Ja bym jej powiedział z całą pewnością, czy Janusz przyjdzie, czy nie.

– Przeklinam cię! – wrzasnęła Eulalia.

– Zgiń, przepadnij! – fuknął Eugeniusz.

Oboje pomaszerowali do swoich pokojów. A Euzebiusz ułożył się wygodnie na jednej z kanap w kącie rekreacyjnym i wyciągnął z plecaka książkę. Czytał *Podręcznik skutecznej sprzedaży*.

– Sama pani widzi, pani Łucjo, co ja tutaj mam – westchnął Kowalski.

– Lucjo – mruknęłam. Zaczęłam już tracić nadzieję, że załapie. I chyba miałam rację, bo nie zwrócił na mnie uwagi.

– Oni się ciągle obrzucają klątwami. Niech pani coś z tym zrobi. Nie można tak pracować. Nie ma dnia, żeby ktoś kogoś nie przeklął albo przynajmniej nie wyzwiał od oszustów żerujących na ludzkiej naiwności. Ja jestem spokojny człowiek, rozwiązuję konflikty. W „Girls Kowalski” też bywało, że dziewczyny się pozażyły. Raz Ola nie chciała gadać ze Smakowitą Sylwią. To kupiłem im jakieś pomadki i powiedziałem, żeby się nie kłóciły. I pomogło. Teraz Sylwia jest szefową jakiegoś wydawnictwa, a Ola pracuje w HR w dużej firmie. Ale tutaj, jak usiłuję godzić te wróżki i wró-

ży, to jeszcze na mnie klątwę rzucają. A ja nie wiem, pani Łucjo, co z takim przekleństwem zrobić. To bardzo źle działa na biznes. Okładają się tymi klątwami, potem wracają do klientów zdenerwowani i wszystko im się myli. A tutaj do nas dzwonią klientki od lat. Na przykład taka pani Danusia zgłasza się co dwa dni, zwykle do Eulalii, bo chce wiedzieć, czy taki jeden Grzegorz z sąsiedniego działu zwróci na nią uwagę. I Eulalii się pomyliło, bo wcześniej obrzucały się klątwami z Eufemią, i wywróżyła, że wybrankiem Danusi jest Piotr.

– Jaki Piotr? – zdziwiłam się.

– Czy to ważne? Okazało się jednak, że naprawdę był tam jakiś Piotr i ta Danusia poszła z nim na randkę i się zaręczyła.

– To chyba dobrze – zaryzykowałam.

– W tym przypadku tak, bo teraz Danusia dzwoni do nas nadal i pyta, czy Piotr jest jej wierny i nie odejdzie z Marleną. No, ale mogło zakończyć się źle. Mogła przejść do konkurencji. Pani Łucjo! Niech pani coś zrobi z nimi wszystkimi!

Rozdział 3

Szklana kula mnie nie zdziwiła. Chociaż nie była tradycyjnym atrybutem wróżbitów, tylko cudem chińskiej techniki zapewne z miasta Chengdu: pustą w środku szklaną kulą, podłączoną do prądu, w której co chwila błyskały miniaturowe pioruny. Wielki czarny kot siedzący obok niej i lizący się pod ogonem też mnie nie ruszył. W końcu czego innego spodziewać się u wróżki? Również ona wyglądała tak, jak wyobrażacie sobie wróżkę. W obszernej srebrnej szacie z kapturem i z licznymi pierścieniami na każdym palcu.

Tym, co mogłoby ewentualnie zdziwić postronnego obserwatora, były manekiny wciśnięte w kąta za Eufemią. A konkretnie mężczyzna naturalnych rozmiarów, w skórzanym czarnym kombinezonie, oraz kobieta oblizująca wargi, także odziana w czarną opiętą skórę. Manekiny były chyba z wosku. A może z lateksu?

Wróżka Eufemia wstała z czerwonego fotela i podeszła do mężczyzny w skórze, którego twarz zastygła w wyrazie lekkiego zdumienia.

– Byli parą sado-maso – powiedziała. – Inne wróżki nie lubią tego pokoju, bo twierdzą, że sado-maso przynosi nieszczęście. Ale niby jakie? Ludzka rzecz. Jak ktoś chce się umartwiać, to jego sprawa. A ten tutaj – wskazała manekin mężczyzny – miał jeszcze takiego wielkiego...

– Pani Eufemio, nie wchodźmy w szczegóły – poprosił Kowalski. – Już nie ma.

– Potrzebuję nastrojowego wnętrza. – Wróżka zmarszczyła brwi. – Muśliny, adamaszki, jedwabie, odpowiednie oświetlenie.

– Pani Eufemio – jęknął jej szef. – To na pewno nie w tym kwartale. Nie mamy wolnych funduszy. Jak się przebranzowiliśmy, pozostawiłem oryginalny wystrój wnętrz, żeby było taniej –

wyjaśnił na mój użytek. – Zresztą moje pracownice na początku wróżyły tylko telefonicznie, więc nie było potrzeby redekacji i wymiany tych... akcesoriów. A kiedy przeszliśmy na wróżenie online, po prostu ukryliśmy pewne... hm... akcenty.

Eufemia pociągnęła za zakrywającą jedną ze ścian zasłonę. Pod tkaniną wisiała pokaźna kolekcja pejców oraz przyrządów, co do zastosowania których musiałabym się przez moment zastanowić. Niemniej miały sporą liczbę kulek, bolców oraz szpikulców.

– Kochana, widzę, że nie masz nikogo. – Eufemia zajrzała do wnętrza szklanej kuli, a potem popatrzyła na mnie z dezaprobatą. – Zgadza się?

– Bardzo to sobie chwałę – potwierdziłam.

– Widzę jednak dwóch mężczyzn – kontynuowała wróżka, gładząc kulę dłońmi. Spod jej palców wytryskiwały bardzo efektowne fioletowe błyskawice. – Wciąż krążą wokół ciebie. Nazywają się... – Zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Jeden nie ma nazwiska, a drugi imienia. Dziwne...

W tym momencie z głośnika rozległ się dźwięk telefonu i zaczęła migać lampka. Kowalski przyłożył palec do ust i wskazał mi miejsce przy drzwiach, z którego nie widać nas było w kamerce. Eufemia poprawiła niemal niewidoczny mikrofon i wcisnęła przycisk.

– Witaj! W czym możemy ci pomóc: ja i moja magiczna kryształowa kula? – wyszeptała.

– Chciałabym wiedzieć, jak rozstrzygnie się sytuacja z moim narzeczonym – rozległ się damski głos.

Eufemia uśmiechnęła się do umieszczonej na statywie niedużej kamery.

– Jak masz na imię, kochana?

– Anna.

– Witam cię, Anno, i wita cię mój kot Anubis. Za chwilę zajrzy my do szklanej kuli, która prosto z piasków Egiptu, z czasów fara-

onów, przybyła do nas, by widzieć przyszłość. Powiedz, Anno, czy twój narzeczony jest z tobą od dawna?

– Od miesiąca – powiedziała kobieta. – Ale on coś kręci ze swoją dawną narzeczoną, Krystyną. A miał jeszcze taką Bożenę. Z tym że ta Bożena zdradziła go z Ryśkiem i wtedy właśnie on przeniósł się do mnie. Ale teraz boję się, że może do niej wrócił. Do Bożeny, nie Krystyny.

– Nie martw się, Anno. Szklana kula prawdę ci powie – wyszeptała Eufemia. – Najpierw jednak okadzę ją dymem z pradawnych egipskich ziół, żeby ukazała przyszłość. Skąd jesteś, moja droga?

– Z Gliwic, z ulicy Korotyńskiego, a mój narzeczony Michał mieszka na Obrońców Pokoju.

– Zaglądam do szklanej kuli... – zaczęła Eufemia. Położyła na niej obie dłonie. Spod jej palców strzeliły fioletowe błyskawice. Wróżka zmarszczyła brwi.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Anna.

– Widzę kłopoty w pracy.

– No właśnie. Kierowniczką ma do mnie pretensje! – wybuchnęła kobieta.

– I widzę zatargi ze współpracownikami.

– Jest taka Ewa i wciąż się ze mną kłóci o ten grafik – przyznała Anna.

– Musisz jej powiedzieć, żeby wzięła zwierzę ze schroniska – kontynuowała Eufemia.

– Jakie zwierzę? – W głosie Anny słychać było zdumienie.

– Najlepiej kota – powiedziała wróżka z powagą. – Sama też adoptuj jakiegoś. Chyba że już masz?

– Nie mam. Ale co z tym moim narzeczonym?

Siedzący obok mnie Jan Kowalski syknął i zaczął dawać Eufemii znaki, ta jednak go zignorowała. Zapatrzyła się w kulę i nagle posmutniała.

– Niestety, Anno, nie mam dla ciebie dobrych wieści. Widzę mężczyznę, który idzie ulicą. Ma jasne włosy.

– To on! – zawołała Anna. – Taki łysiejący.

– Tak – powiedziała Eufemia. – Szuka kobiety z kotem.

– To Bożena! – Annie zatrzęsł się głos.

– Musisz wziąć kota, a najlepiej kilka – powtórzyła wróżka z naciskiem.

– Jakich kotów?

– Bez różnicy, tylko zrób to szybko.

Jan Kowalski złapał się za głowę.

– To lecę po te koty. Ale koniecznie ze schroniska?

– Najlepiej – potwierdziła Eufemia.

– I wtedy on już nie pójdzie do Bożeny? – upewniła się Anna.

– Nie, wróci do ciebie. Ja i Anubis widzimy to w szklanej kuli.

– Dziękuję! – zawołała kobieta w euforii i się rozłączyła.

– Pani Eufemio, mówiliśmy przecież o tym tyle razy – jęknął Kowalski. – Po co wprowadzać element zwierzęcy?

– Koty potrzebują człowieka – zaperzyła się wróżka. – Wie pan, ile z nich czeka w schroniskach na nowych właścicieli?

– Możliwe – mruknął biznesmen. – Ale my nie zajmujemy się rozdawaniem kotów, tylko wrózeniem.

– To co mam mówić, skoro wyraźnie widzę je w szklanej kuli? – zezłościła się Eufemia.

– Ale wcześniej ich pani nie widziała – zauważył Kowalski. – Tylko tych narzeczonych, jak przychodzą i już zostają. Nie mogłoby znowu tak być?

– Mam okłamywać Annę?!

– Broń Boże! – Mężczyzna zadrzał z oburzenia. – Kto tu mówi o kłamaniu? Przekazujemy naszym klientom samą prawdę i tylko prawdę na temat przyszłości.

– No więc mówię, co widzę – obstawała przy swoim Eufemia. – Jak widać koty, to mówię, że są. Jeśli Anna je przygarnie, narze-

czony wróci. Widziałam, jak blondyn, lekko łysiejący, wraca i idzie do mieszkania z kotami.

– Ale gdyby tak pominąć te zwierzaki? – próbował Kowalski. – Klientka jest jednak zainteresowana głównie narzeczonym.

– Ale on wraca do mieszkania z kotami. Wyraźnie to widzę. – Eufemia rozłożyła ręce. – Nie będę kłamać, że jest inaczej.

– No skądże znowu! – wzdrygnął się jej szef. – Ale żeby każdy narzeczony i mąż każdej dzwoniącej wracał do mieszkania z kotami...

– Tak widzę – upierała się Eufemia.

– Dobrze już, dobrze. – Kowalski machnął ręką. – Wrócimy do sprawy.

Kiedy wyszliśmy, sięgnął do kieszeni i wyciągnął aspirynę.

– Głowa mi pęka od tych sporów – wyjaśnił, łykając proszek. – Odkąd Eufemia pokłóciła się z innymi wrózkami, wciąż widzi te koty. Poniekąd rozumiem, ona była, zanim przyjąłem ją do pracy, hodowczynią kotów rasowych, no i stąd ten Anubis. Wcześniej wabił się Felek. Eufemia nadal ma kilka kotów w domu, ale od czasu konfliktu z innymi wrózkami każdemu mówi, że ma iść do schroniska i adoptować kota. Ja nie mam nic do tych zwierząt, ale przecież nie prowadzę porad zoologicznych, tylko biznes zajmujący się przyszłością. Czy pani wie, pani Łucjo, że raz wchodzę do Eufemii, a ona radzi klientce, jaki zwirek do kuwety kupić? No jak tak można? Przecież ja jestem szanowanym przedsiębiorcą branży przyszłościowej! Poza tym chcemy, żeby klientki wracały do nas z nowymi pytaniami. Mamy taką panią Aldonę, która od dwunastu lat dzwoni do nas regularnie. I wie pani, o co pyta?

– Zapewne o narzeczonego – wysunęłam przypuszczenie. – I: Lucjo.

– Właśnie – zgodził się Kowalski. – Pani, widzę, też jest dobra w przewidywaniu przyszłości. Nie myślała pani o przepowiadaniu?

– Moja obecna praca bardzo mi odpowiada – podziękowałam grzecznie.

– Gdyby jednak okazało się, że chciałaby pani zmienić branżę, to zachęcam – namawiał Kowalski. – W każdym razie ta Aldona wciąż chciała wiedzieć, czy Andrzej jest jej wierny. Aż tu nagle dowiaduje się o kocie i żwirku. I wie pani co? Od dwóch tygodni ani razu nie zadzwoniła.

– Być może Andrzej wrócił i są szczęśliwi. Razem z kotem.

– Wspaniale – mruknął Kowalski. – Chcemy, żeby nasze klientki były szczęśliwe. Ale nie za bardzo. Bo jak szczęśliwe klientki zaczną przesypywać żwirek do kuwety, zamiast dzwonić, to ja zbankrutuję. A przecież mam firmę. ZUS-y trzeba płacić, rachunki za lokal i łącze internetowe. Z czego ja to wszystko pokryję, jeśli one zajmą się tylko żwirkiem?

Nie znalazłam na to pytanie satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Zajdziemy teraz do Eurydyki – dorzucił szybko Kowalski. – Ona wróży z linii papilarnych. Pożarła się o to z Eufemią. Eurydyka była pielęgniarką, ale jak to w szpitalu: praca na zmiany, niedoinwestowana służba zdrowia. Sama pani rozumie. Woli wróżyć u nas.

Otworzył drzwi do pokoju, który mógł się znajdować w każdej przychodni. Na białych ścianach wisiały schematy przedstawiające narządy wewnętrzne człowieka, w kącie stał szkielet, na tablicy wisiały stare słuchawki do osłuchiwania klatki piersiowej, a obok, na wieszaku, białe kitle. Przy białym stole siedziała Eurydyka, kobieta po pięćdziesiątce z kokiem, w kolorowej sukni.

– Przedstawiam panią Łucję, która zajmie się optymalizacją naszej firmy – zaanonsował Kowalski.

– Wreszcie! – ucieszyła się Eurydyka. – Ja już dawno wróżyłam, że trzeba będzie dużo pozmienić. Zajrzałam w rękę panu Janowi i dostrzegłam, że linia losu nagle mu się kończy i rozwidla. A to zły znak.

– Pani Eurydyko, proszę znowu nie zaczynać – powiedział z wyrzutem Kowalski.

Wróżka chwyciła nagle moją dłoń i zanim zdążyłam ją cofnąć, spojrzała na nią z napięciem.

– Twoja linia losu rozwija się wspaniale – mruknęła. – Widzę, że lubisz śmiało wyzwania i niespotykane sytuacje. Ale widzę tutaj śmierć. I to niejedną.

– To możliwe – przyznałam, delikatnie oswobadzając rękę. Ale Eurydyka chwyciła ją ponownie.

– Widzę osobę, która potrafi załatwić każdą sprawę. Co chwila znajduje się w innych miejscach i rozmawia z różnymi ludźmi. I jeszcze dostrzegam... O, tu. Widzą państwo?

Zaciekawiony Kowalski zerknął mi przez ramię.

– Te trójkąty – wytłumaczyła Eurydyka. – Dwaj mężczyźni. Są związani z tymi zgonami. Strzeż się ich.

– Cóż, to nie takie proste – wyjaśniłam.

– To zły wybór. Obaj żonaci – ostrzegła Eurydyka. – Omamią cię tylko, ale szczęścia nie dadzą, do żon wrócą.

– Mam nadzieję. – Uśmiechnęłam się.

– Pani Eurydyka jest znakomita – pospieszył z wyjaśnieniem Kowalski. – Jak pani widzi, w tym pokoju za poprzedniej działalności znajdowało się centrum do... eee...

– Do zabawy w doktora – weszła mu w słowo wróżka. – Pano wie dzwonił i odbierała pielęgniarka. Pytała, co im dolega, i kazała się rozebrać, po czym sama demonstrowała, jak powinni to zrobić.

– Było, minęło, stare dzieje – uciał Kowalski. – Niedługo się re-dekoruje.

– Od dwa tysiące dziesiątego to słyszę – poskarżyła się Eurydyka. – I wciąż nic. A jak ja mam tu pracować jako Cyganka? Czy ktoś widział Cygankę przyjmującą w gabinecie zabiegowym? A poza tym powtarzam w kółko, że teraz mówi się „Romowie”, a nie „Cyganie”. Dzwonią młodsze klientki i mnie poprawiają.

– Niedługo się to wszystko pozmienia – westchnął Kowalski raz jeszcze.

– A załatwisz, złociutka, coś z tą Eufemią? – Wróżka zerknęła na mnie z nadzieją. – Odkąd z czystej przyjaźni powróżyłam jej z ręki, nagle się obraziła.

– Pani Eurydyka zobaczyła, że linia życia Eufemii gwałtownie się urywa – wyjaśnił biznesmen.

– Właśnie. A to pewnie przez to, że odżywia się niezdrowo, i przez te koty. One mogą roznosić choroby, a ona mi radzi wziąć jednego ze schroniska. Bo podobno w szklanej kuli zobaczyła. Przecież to śmiech na sali, złociutka. Co można zobaczyć w szklanej kuli, chyba tylko swoje odbicie. Dobrze mówię?

Jan Kowalski spojrział na mnie z widoczną udręką.

Rozdział 4

Wróżka Eudokia siedziała na wielkiej różowej poduszce, która z kolei spoczywała na ogromnym błękitnym fotelu, co samo w sobie nie było takie niezwykle w świecie wróżek. Za Eudokią stał olbrzymi jednorożec, pomalowany jednak w niezwykle dla tego zwierzęcia barwy. Był mianowicie jednorożcem dalmatyńczykiem. Białym w czarne ciapki.

Pod ścianą stały lub leżały także inne wielkie figury: Kubuś Puchatek, Czerwony Kapturek, Królowna Śnieżka oraz co najmniej kilka krasnoludków. Te ostatnie wyglądały dość lubieżnie, ale to normalne, jeśli nie ma się na sobie zwykłych czerwonych krasnoludkowych kapotek, tylko stringi. A na głowach, zamiast zwyczajowych czapeczek, nasunięte ogromne prezerwatywy.

– Niech pani nawet nie pyta – zastrzegł Kowalski. – Niedługo się pozmienia. Zresztą nie widać ich w kamerze, tylko jednorożec jest, ale on nie wzbudza kontrowersji, odkąd ponownie ma róg.

– Bo wcześniej miał... – zaczęła wróżka Eudokia.

– To, co miał, już zmieniliśmy – przerwał jej szef, czerwieniąc się nieco. – Grunt, że teraz prezentuje się magicznie, a nie falli... inaczej. Pani Eudokia zajmuje się numerologią – wyjaśnił. – Jest znakomita w swojej dziedzinie. Była nauczycielką matematyki w szkole podstawowej, ale dopiero w „Magii Kowalski” znalazła szansę, żeby w pełni rozwinąć swój potencjał. Ma niezwykle charyzmę.

Eudokia, zadowolona, pokiwała głową. Rzeczywiście przypominała charyzmatyczną nauczycielkę matematyki. To znaczy przypominałaby, gdyby ubrać ją w typowy dla przedstawicielki tego zawodu strój. Jednak w błękitnym fotelu i na różowej poduszce, w szacie upstrzonej żółtymi gwiazdkami oraz błyszczącymi cyferkami, z nauczycielki miała tylko tembr głosu i zachowanie.

– Janku, co z tymi cyframi? – zapytała, mierząc Kowalskiego surowym spojrzeniem.

– Niedługo się wymieni. – Jej szef machnął ręką.

– Ale kiedy? – Eudokia surowo na niego spojrzała. – Obiecałeś mi to już bardzo dawno temu.

– No bo byłem chory – wyjaśnił Kowalski, popatrzył na czubki swoich sandałów i białe skarpety i jakoś skurczył się w sobie.

– Miałeś wystarczająco dużo czasu – upomniała go wróżka. – Czy mam zadzwonić do twojej żony?

– Ależ skąd! – przeraził się mężczyzna i złożył błagalnie ręce. – Załatwię te cyfry, na pewno.

– Ale teraz to już naprawdę. Nie chcę słuchać żadnych wykrętów – zaznaczyła Eudokia.

– Oczywiście, proszę pani. – Kowalski wił się jak piskorz.

– Sam powiedz, jak mam być wiarygodną numerolożką, jeśli jedynymi cyframi, które widać w kamerce, są te? – Wskazała za siebie. – Co sobie pomyślą klientki? Mówię im o wewnętrznej aurze, a tu cyfry wywołują określone skojarzenia z bardzo konkretnym... hm... numerkiem.

Na ścianie za Eudokią błyskał neon układający się w liczbę 69.

– Już je zamówiłem, tylko wykonawca okazał się nierzetelny – tłumaczył się Kowalski, wciąż wpatrzony w swoje sandały. – Dziś znajdę nowego, obiecuję.

– No dobrze, ale żeby mi się to nie powtórzyło. – Eudokia pogroziła mu palcem.

– Dobrze, proszę pani – westchnął biznesmen.

– Powinieneś to zrobić w tym tygodniu, bo aż do piątku twoja szóstka będzie w sferze finansowej – pouczyła go Eudokia. – Potem przewagę zdobędzie czwórka, a z nią nigdy nie było ci po drodze. Uważaj na pokusy i nie ulegaj im.

– Nie ulegnę – obiecał Kowalski.

– Znakomicie! – ucieszyła się wróżka i skierowała wzrok na mnie. – Nic nie mów – ostrzegła, choć wcale nie zamierzałam się

odzywać. Zamknęła oczy i przez chwilę medytowała po cichu. Wreszcie uniosła powieki. – Założę się, że jesteś siódemką – powiedziała. – Siódemki...

– Jedyneką – przerwałam jej. – Charyzma, zdolności przywódcze, sprawdzanie się w stresowych sytuacjach.

Kowalski otworzył szeroko oczy.

– Pani Łucjo, wspaniale. A może zdołałaby pani, poza swoimi obowiązkami, zastąpić Eudokię w weekendy? Euzebiusz kiepsko radzi sobie z numerologią, ma alergię na cyfry i wszystko mu się myli, kiedy jest na zastępstwie.

– Lucjo.

– Ostatnio pomylił uduchowioną siódemkę z praktyczną czwórką – sarknęła z irytacją Eudokia. – Potem mówił, że źle zsumował rok i miesiąc. Wy tłumaczyłam mu od początku wszystkie działania i słupki robił poprawnie, ale na wizji ponownie źle dodał, chyba ze stresu. A teraz Wiesława dzwoni do mnie i przekonuje, że jest praktyczną czwórką, i co ja mam jej powiedzieć?

– Obawiam się, że wróżyć mogłabym wyłącznie w pakiecie superVIP, za o wiele wyższą stawkę – wyjaśniłam.

– Pani Łucjo, wróżki świetnie zarabiają – przekonywał Kowalski. – Niech pani szepnie, ile trzeba by dopłacić.

Szepnęłam i z satysfakcją zauważyłam, że wytrzeszczył oczy.

– Może najpierw dokupię te cyfry do gabinetu – westchnął.

W tym momencie zadzwonił telefon. Eudokia błyskawicznie klapnęła na fotelu, uciszając nas palcem na ustach.

– Wróżka Eudokia, zajmuję się numerologią i wpływem liczb na nasze życie – zaczęła jedwabistym głosem. – Jak masz na imię?

– Stefan. Chciałbym wiedzieć, czy dostanę inną pracę – powiedział głośno.

– Stefanie, liczby prawdę ci powiedzą. Podaj mi, proszę, swoją datę urodzenia.

– Piąty, piąty, osiemdziesiąty piąty.

– Stefanie, jesteś numerologiczną szóstką – podjęła Eudokia. – Szóstki cenią sobie domowe zacisze, nie lubią przelotnych roman-
sów, wybierają stałe związki...

– Bullshit – powiedział głos. – Właśnie, że lubię romanse i nie
znoszę stałych związków.

– Jesteś sumiennym pracownikiem i przykładasz się do swoich
obowiązków... – kontynuowała wróżka.

– W ogóle się nie przykładam. Wszystko zawalam – sprzeciwił
się głos.

– Zależy ci na awansie i na tym, żeby szef cię cenił – mówiła
niezrażona Eudokia.

– Szef może mi naskoczyć – zaperzył się głos. – A awans niech
sobie wsadzi.

– Dużo uwagi poświęcasz samokształceniu i opanowywaniu no-
wych umiejętności, ponieważ jesteś bardzo inteligentny i chętny
do rozwijania swoich talentów.

– W ogóle nie jestem chętny – zarzekał się głos. – Nie mam
żadnych talentów, jestem tępy jak dzida. A uczyć to nie lubiłem
się nigdy. W piątej klasie trzy razy kiblowałem. Cieniutkie te wa-
sze wróżby.

– Nowa praca będzie dla ciebie okazją do rozwinięcia skrzydeł
i pokazania światu swojego potencjału...

– Ja nie mam żadnego potencjału – warknął głos. – Te wszyst-
kie bajdurzenia to pic na wodę.

– Będzie spełnieniem twoich marzeń i awansem – kontynuowa-
ła Eudokia.

– Ja w ogóle nie chcę żadnej nowej pracy – oburzył się głos. –
Zgłoszę was na policję, że bajeczki ludziom rozprowadacie. Ładnie
to tak? Nic mi się nie sprawdziło. Nic a nic. Napiszę skargę do
Trybunału w Strasburgu, że naciągacie klientów.

– Szóstki piszą ładne i staranne skargi – zgodziła się Eudo-
kia. – Z pewnością zażalenie zostanie docenione i zyska należne
mu miejsce.

– Wcale nie – zirytował się głos. – Bo to wszystko banialuki i oszustwa. Żegnam.

W głośniku rozległ się przeciągły sygnał przerwanej rozmowy.

– Stefan jest z konkurencji – wyjaśnił mój zleceniodawca. – Miałem wspólnika, jeszcze przed „Girls Kowalski”. I kiedy przetrzuciłem się na magię, poróżniliśmy się o nazwę. Bo ja nalegałem na „Magia Kowalski”, a on chciał „Magia Twardowski”. No ale jak by to brzmiało. „Magia Twardowski”!? Zupełnie bez sensu. I teraz nasyła na mnie swoich pracowników, żeby wydzwaniali i pisali negatywne opinie o naszych wrózkach. A ten cały Stefan stawia horoskopy w „Magii Twardowski”, ale bardzo amatorskie.

– Sprawdzał pan? – zaciekawiłam się.

– Proszę sobie wyobrazić: powiedział mi, że mam głowę do biznesu, potrafię płynąć z prądem, ale i dokonywać przemyślanych zwrotów życiowych i biznesowych, oraz że nie mam serca do mody. Bez sensu. Wszystkie te ZUS-y, KRUS-y, PIT-y i CIT-y przerastają mnie, w ogóle się w tym nie odnajduję. Ale akurat do mody to głowę mam.

Z dumą zdjął jeden sandał i wyciągnął przed siebie, jakby wręczał mi nagrodę. Na wszelki wypadek jednak nie przyjąłem.

– Zauważyła pani? – zapytał z nadzieją.

– Że to Gucci? – odpowiedziałam pytaniem. – Owszem, już wcześniej.

– No właśnie – westchnął zadowolony. – Po tej wróżbie napisałem Stefanowi negatywną recenzję, że nic się nie zgadza. Z serca chciałem dobrze, ale jak można tak ludzi w maliny wpuszczać. A teraz Stefan raz dzwoni jako Stefan, a innym razem jako Waldemar, Wiesław lub Roland, i zawsze krytykuje nasze przepowiednie.

– Ale za każdym razem udaje mi się go przetrzymać do piątej minuty. – Eudokia się uśmiechnęła.

– Tak, bo powiem pani, pani Łucjo, że mamy tak skonstruowaną umowę z operatorami komórkowymi, że po czwartej minucie

połączenia dostajemy wyższy procent od dzwoniącego – rozchmurzył się Kowalski. – Dlatego Stefan bardzo nam się dokłada do biznesu. Zwłaszcza od piątej minuty.

– Z tym że ostatnio też rzucił na nas klątwę – westchnęła Eudokia.

– Na wszystkich? – zaniepokoił się biznesmen.

– Niestety. – Wróżka pokiwała głową. – Obiecałeś coś zrobić z tymi klątwami, Janku.

– Tak, przepraszam panią. – Kowalski znowu wbił wzrok w sandały od Gucciego, ale nagle uśmiechnął się i spojrzał przed siebie. – Przecież zrobiłem.

– Co takiego? – zdumiała się Eudokia.

– Jak to co? Zaangażowałem panią Łucję.

– Łucję. – Podjęłam jeszcze jedną próbę.

– Ona się tym wszystkim zajmie.

Rozdział 5

Wróżka Eulalia wyglądała jak siostra księżniczki Lei Organy z *Gwiezdných wojen*. Nosiła powłóczytą białą szatę z bufiastymi rękawami i warkocze (na oko sztuczne) zwinięte w precelki wokół uszu. Siedziała w półotwartej kabinie statku kosmicznego.

– Niedługo to się oczywiście redekuruje – powiedział szybko mój zleceniodawca. – Jak jeszcze miałem „Girls Kowalski”, tutaj mieścił się klubik kosmicznych rozkoszy. Klienci dzwonili i zamawiali podróż na Marsa lub Jowisza.

– I lecieli? – zainteresowałam się.

– Nie no, dziewczyny leciały. Apetyczna Amanda lub Seksi Sandra. Najpierw zakładały kostiumy. Klient miał do wyboru księżniczkę z *Gwiezdných wojen* albo astronautkę. Potem wdrapywały się do statku kosmicznego. Tu, gdzie siedzi pani Eulalia, był statek, tylko wyjęliśmy z kabiny wszystkie bzyzące i świecące tablice rozdzielcze, żeby nie rozpraszać klientów. Ech, piękne czasy. Wie pani, ile trwała podróż na Marsa?

– Nie mam pojęcia – przyznałam.

– Pół godziny. Łącznie z przystankiem na podziwianie panoramy Ziemi. A na Jowisza?

– To prawie cztery razy dalej, więc dwie godziny? – zaryzykowałam.

– Czterdzieści minut – sprowadził mnie na Ziemię Kowalski. – Rozumie pani, aspekt astronomiczny oraz odległościowy nie był tu najważniejszy.

– Zdaję sobie sprawę.

– Klienci czekali raczej na moment, kiedy Sandra krzyknie: „Doleciałam, jestem, och, och!”. Bo musi pani wiedzieć, że kiedy tak leciały przez ten zimny kosmos, wiatr zwiewał z nich części kombinezonu.

– Dzwoniącym nie przeszkadzał wiatr w kosmosie? – zapytałam.

– Och nie, wręcz przeciwnie, domagali się go więcej, w miarę jak rakieta się rozpędzała. Mieliśmy taki wiatrak, który rozwiewał Sandrze włosy. – Kowalski uśmiechnął się do swojego wspomnienia. – A na przykład na Plutona, najdalszą planetę Układu Słonecznego, podróż trwała ponad godzinę.

– Już przestał być planetą – zauważyłam.

– Jestem pewien, że naszym klientom by się to nie spodobało. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Wielu żądało, żeby Sandra leciała na Plutona. A ja, rzecz jasna, nie oponowałem. W końcu liczyliśmy siedem osiemdziesiąt dziewięć za minutę połączenia. Cała podróż to prawie pięćset złotych. Sandra miała takie powodzenie, że bez ustanku latała na Plutona. Tylko Saturn był popularniejszą destynacją z powodu... eeeee... pierścieni. Klientom się kojarzyły... Mniejsza o to z czym. Niestety później pojawiły się te serwisy internetowe oferujące śmielsze treści i klienci się przenieśli.

– Ale praca jest teraz dużo spokojniejsza – zauważyła Eulalia. – Wcześniej musiałam obsługiwać konsolę statku kosmicznego i co chwila coś przełączać. A teraz cisza, muzyczka w tle...

– Właśnie, zapomniałem wspomnieć, że Sandra się przekwalifikowała i została Eulalią – zająknął się Kowalski.

– Przede wszystkim jestem psycholożką – podkreśliła wróżka. – Skończyłam studia i napisałam pracę o wychodzeniu z uzależnień.

– Uzależnienia są okropne. – Jej szef pokiwał głową.

– Pracowałam w poradni – powiedziała Eulalia. – Przychodzili jednak głównie pacjenci, którzy chcieli, żebym wyleczyła ich w czasie jednej sesji, bo NFZ płacił tylko za pierwszą godzinę.

– Zaproponowałem konkurencyjne warunki. – Kowalski się uśmiechnął.

– Biedni ludzie – westchnęła Eulalia. – Czuli wewnętrzny przymus, żeby codziennie zagrać na wyścigach lub zadzwonić na sek-

stelefon.

– Zupełnie tego nie rozumiem. – Biznesmen potrząsnął głową. – Ja na przykład zagrałem raz na Służewcu, postawiłem na Księżniczkę, przegrałem. I koniec. Nigdy już tam nie poszedłem.

W głośniku zabrzmiał sygnał nadchodzącego połączenia i kobieta usadowiła się przed kamerą.

– Dodzwoniłeś się do wróżki Eulalii. Moje karty pomogą ci zdecydować o twoim losie. Kim jesteś?

– To ja, Aldona – odezwał się głos. – Pamięta mnie pani?

– Oczywiście. – Wróżka się uśmiechnęła. – Ostatnio zastanawiałaś się, czy wybrać Sebastiana, czy Kacpra. Kacper miał pracę, ale czasami pił. A Sebastian był bez pracy, ale za to trzeźwy.

– Tak, i teraz chyba jestem w ciąży, ale nie wiem z którym – wyznała Aldona. – Mogłaby pani postawić karty?

Eulalia sprawnie rozłożyła karty na stoliku i ze zmarszczonym czołem zapatrzyła się w rozkład.

– Rycerz Denarów na pierwszym miejscu – powiedziała. – Za nim Król Kielichów.

– Tak czułam, że to Sebastian – odetchnęła Aldona. – Ale czy będzie mi wierny?

– Wieża, a więc przełom – dodała Eulalia.

– No to chwała Bogu. – Aldonie wyraźnie ulżyło. – Ja jutro jeszcze raz zadzwonię. Bo chciałam o coś dopytać.

– Możemy od razu rozłożyć karty – zaproponowała Eulalia.

– Nie, jutro. Bo nie chcę, żeby Rysiek usłyszał. Jest teraz u mnie – wyszeptała Aldona konspiracyjnie.

I połączenie się urwało.

– To jest właśnie zdrowe przywiązanie klienta – ucieszył się Kowalski, klepiąc się po udzie. – Ta Aldona dzwoni codziennie.

– I nie jest uzależniona? – upewniłam się.

– Ależ skąd! – zaprzeczył biznesmen. – Jest pozytywnie zmotywowana. A poza tym tak jakby codziennie konsultuje się ze specjalistką od uzależnień.

– Mimo wszystko mam wyrzuty sumienia – westchnęła wróżka. – Kiedy latałam na Marsa, przynajmniej miałam pewność, że pomagam ludziom. A teraz to już sama nie wiem.

– Ależ pomagasz – zapewnił ją Kowalski.

– Nie jestem tego taka pewna – zawahała się. – Zwłaszcza odkąd poróżniłam się z Eufemią. Może rzeczywiście nie widzę przyszłości? Eugeniusz też twierdzi, że tarot kłamie. A ja co wyciągam kartę, wychodzi Śmierć.

Rozdział 6

Pokój wróża Eugeniusza wyglądał, jakby był kiedyś celą. Prawdopodobnie dlatego, że naprawdę nią był. Ciemne ściany, prycza, zakratowane okienko.

– Tutaj urzędowała Sprytna Sonia – wyjaśnił Kowalski i lekko się uśmiechnął na to wspomnienie. – Ta to miała charakter. Była więźniarką. To znaczy nie naprawdę – zastrzegł szybko. – Żeby pani nie pomyślała, że ja tu jakiś żywy towar miałem. Studiowała zaocznie prawo i sama wpadła na pomysł, że będzie siedziała w celi. Bardzo zdolna dziewczyna, teraz pracuje w kancelarii adwokackiej.

– Domyślam się. – Skinęłam głową.

– Udawała tylko, że jest uwięziona, a panowie dzwonili i doradzali, co ma robić, żeby się uwolnić. Naturalnie przeważnie starali się ją przekonać, żeby się rozebrała, to wtedy może zdoła przecisnąć się przez okno. Niektórzy nawet godzinę ją namawiali, żeby zdjęła ciuszki, to wtedy da radę zmieścić się między kratami. Ech, i to wszystko za siedem osiemdziesiąt dziewięć za minutę – rozmarzył się. – Przy wróżbach bardzo trudno utrzymać zainteresowanie klienta przez tak długi czas.

– Moje wizje są najdłuższe – wtrącił Eugeniusz. – I nie muszę chyba dodawać, że najbardziej wiarygodne. Ale jeśli Eufemia albo Eulalia zdołała już powiedzieć pani coś, co by rzucało cień na moją zawodową reputację...

– Ależ skąd – dodał Kowalski pospiesznie. – Pan Eugeniusz jest naszą chlubą.

– Niemniej nadal siedzę w celi – poskarżył się wróż.

– Niedługo się wymieni – pocieszył go szef. – Już dokonaliśmy pewnej redekacji.

Rzeczywiście do pomieszczenia, które było kiedyś celą Sprytnej Soni, wstawiono nową czerwoną kanapę, na której leżały puchate poduszki. Na ścianie zaś wisiały dwa plakaty przedstawiające, zdaje się, powstanie wszechświata i szalejące galaktyki.

– Plakaty sam musiałem sobie kupić – mruknął Eugeniusz. – Nie może tak być, żeby klienci dzwonili i widzieli wewnątrz jak w jakimś warsztacie samochodowym.

– Niedługo się wymieni – obiecał jeszcze raz Kowalski. – Wie pan przecież, że ja muszę najpierw popłacić te wszystkie ZUS-y, KRUS-y, SRUSY-y, PIT-y, CIT-y i rachunki.

– Miałem wizję, że w najbliższym czasie nie zrobi pan żadnej redekacji – oznajmił Eugeniusz ponuro.

– Ależ skąd – zaprzeczył biznesmen. – Jest w planach.

– A więc pan też mi zarzuca, że moje wizje są niedokładne? – rozsierdził się wróż.

– Tego nie powiedziałem. – Kowalski otarł pot z czoła i spojrzał na mnie błagalnie. – Pani Łucjo, naprawdę jest pani niezbędna.

Doskonale o tym wiedziałam.

– Zanim Eugeniusz został naszym czołowym wróżem, prowadził z sukcesem warsztat samochodowy – wyjaśnił mój zleceniodawca. – Sam serwisowałem u niego auto i muszę powiedzieć, że był bardzo sumienny. A raz w swojej wizji zobaczył, że mam wypadek. Powiedział, że odpadnie mi koło i samochód stoczy się do rzeki. I wie pani, że miał rację? To znaczy nie stoczyłem się, ale sprawdziłem koło – okazało się, że było przykręcone tylko jedną śrubą. Po tej historii natychmiast zaproponowałem mu angaż.

– Specjalizacja w japończykach – potwierdził Eugeniusz. – Ma pani może japończyka?

– Forda mustanga – powiedziałam.

– Jakość już nie taka jak kiedyś. – Pokręcił głową. – W każdym razie miałem też inną, powracającą uporczywie wizję, że szef nie wypłaci mi poborów. I wie pani, co się wydarzyło?

– Nie wypłacił? – zapytałam.

- Właśnie. Skąd pani wiedziała?
- Strzelałam – wyjaśniłam.
- A później miałem wizję, że spie... oddała się z moją żoną Cecylią. I wie pani, co się stało?
- Oddalił się?
- Nie. To znaczy tak, ale z inną Cecylią. Zdumiałem się, bo to rzadkie imię, ale i nauczyłem, żeby nie interpretować przepowiedni zbyt pochopnie.
- Dobrze się złożyło. Dla pańskiej Cecylii – zauważyłam.
- Wcale nie – skrzywił się. – Wizja, w której mój szef i moja małżonka oddalali się razem, była tak natarczywa, że postanowiłem natychmiast się rozwieść. Poza tym w innej wizji zobaczyłem Justynę, która pracowała w pobliskim biurze.
- I ta wizja okazała się prawdziwa? – zaciekawiałam się.
- Do pewnego stopnia. Sprawdziła się część dotycząca naszego wyjazdu nad morze oraz... no... szczegółów pobytu. Potem jednak Justyna poznała Hieronima. To nauczyło mnie, żeby sięgać w wizjach dalej w przyszłość. Gdybym wtedy sięgnął, niewątpliwie objawiłby mi się Hieronim. A tak natknąłem się na niego pewnego dnia, kiedy wróciłem z pracy.
- Była awaria łączy i tego dnia puściliśmy pracowników wcześniej do domu – wyjaśnił Kowalski.
- Jasnowidz wciąż uczy się interpretacji swoich wróżb – powiedział Eugeniusz. – Niemniej nie można na jednej szali kłaść prawdziwych wizji oraz jakiegoś czary-mary z kartami czy liniami papilarnymi. No bo co karty mogą powiedzieć o przyszłości? To tylko kolorowe kartoniki. Śmiechu warte!
- Niemniej również przynoszą dochód – pospiesznie dodał Kowalski. – Ale żeby tak od razu okładać klątwą...
- To co mam zrobić? – oburzył się Eugeniusz. – Niech pani sama powie, co by pani zrobiła, gdyby ktoś bez ustanku powątpiewał w pani wizje i przypisywał sobie pani zasługi...
- Wróż nagle zastygł w pół słowa.

– Mam wizję – powiedział chrapliwym głosem. – Dwóch mężczyzn przy pani. Przypisują sobie pani osiągnięcia. Widzę też samochód. Musi pani uważać, z jego powodu straci pani dużo pieniędzy. Ale jeden ze wspomnianych mężczyzn pomoże pani je odzyskać. Będzie usiłował przekonać panią do swoich racji, ale się myli. Proszę się nie dać.

– Obiecuję.

– Proszę mu nie wierzyć. Pomoże mężczyzna bez nazwiska.

– Jak ktoś może nie mieć nazwiska? – Kowalski wzruszył ramionami.

– On ma żonę – ostrzegł mnie Eugeniusz surowo. – A obaj są bliżej, niż pani sądzi.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał wróż Euzebiusz.

– Szefie, trzej panowie do pana i do Eugeniusza. Mówią, że są z policji.

– My tu służbowo – rozległ się doskonale znany mi głos. – Aspirant Konieczny. Pani Lucja???

Rozdział 7

Konieczny wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Przyszła pani do wróżki?

– Jestem w pracy – wyjaśniłam. – A pan? Przyszedł pan sobie powróżyc?

– Ależ skąd! – nastroszył się aspirant. – Mówiłem przecież, że jestem tu służbowo. Do pana Eugeniusza w sprawie wizji celem odnalezienia zaginionej Wężyk Wandy.

– Czyli powróżyc – podsumowałam.

– My, jako polska policja, wychodzimy szerokim frontem na przeciw oczekiwaniom obywateli – wyłożył z namaszczeniem Konieczny. – A jeśli intencją obywatela jest, żebyśmy dopełnili wszelkich możliwych czynności przy poszukiwaniu osób zaginionych, łącznie z czynnościami wizyjnymi, to my, jako polska policja, przychylamy się do tych prośb.

– Czyli powróżyc. – Uśmiechnęłam się, trochę złośliwie.

– Pozostawię to bez komentarza – naburmuszył się policjant. – Jest z nami obywatel Wężyk Jacek, lat czterdzieści siedem. Żona obywatela Wężyka Jacka zaginęła tydzień temu i mimo podjęcia środków operacyjnych nie udało jej się jeszcze zlokalizować. Choć uważam, że działania policyjne przyniosą skutek w stosownym terminie i doprowadzą do ujawnienia miejsca pobytu zaginionej Wężyk Wandy, jej mąż życzył sobie, żeby spróbować zlokalizować ją za pomocą metod jasnowidzeniowych, na co polska policja wyraża zgodę.

Za Koniecznym w drzwiach ukazał się Władek i na mój widok twarz mu się rozjaśniła. Podkomendny tym razem był w mundurze. Za nim stał niewysoki łysy mężczyzna w garniturze. Wyglądał dość osobliwie. Jego głowa była ciut za duża, za to garnitur ewidentnie przymały. Facet przypominał postać z kreskówki.

– Nie chciałem fatygować – usprawiedliwił się. – Jeśli są państwo zajęci, to przyjdziemy innym razem.

– Nie ma mowy. – Konieczny pokręcił głową. – Nie po to taki szmat drogi jechaliśmy z Mazur, żeby teraz wracać.

– Oczywiście – ucieszył się Kowalski. – Faktura będzie na jaką komendę?

– Na Mazurską Komendę Policji – wyjaśnił aspirant. – Zaczynamy?

– Mają panowie jakieś przedmioty należące do zaginionej? – Eugeniusz spojrzał pytająco na Wężyka i Koniecznego.

– Mam szal. – Wężyk wyciągnął z plecaka niebieski kawałek tkaniny i wręczył wróżowi.

– Moment, przecież ten szal został opisany jako szal należący do pana teściowej, czyli matki zaginionej – zatrzymał go Konieczny.

– Naprawdę? – zdumiał się mężczyzna. – To coś mi się pomyliło. W takim razie proszę, oto jej kolczyki.

Sięgnął do plecaka.

– Te kolczyki należą do przyjaciółki zaginionej, Tarnowskiej Patrycji. – Aspirant zmarszczył brwi. – Mam zaznaczone w protokole. Pożyczone tydzień przed zaginięciem. My, polska policja, jesteśmy skrupulatni.

Wężyk podrapał się po łysej głowie i zaczął przetrząsać plecak.

– Mam! – zawołał triumfalnie i wyciągnął notes w skórzanej oprawie.

– Przecież to pana notes. – Konieczny spojrzał na niego podejrzliwie.

– Eeee... no... razem go używaliśmy. Wandzia często wpisywała tu swoje spotkania. Na przykład tutaj... A nie, to moje... O, jest! Zapisała jakiś adres.

– To adres pana lekarza domowego – stwierdził policjant.

– Jestem cały roztrzęsiony – jęknął Wężyk. – Nie mogę się w ogóle skupić. Taka tragedia. Ale skoro nie mamy żadnej rzeczy,

która należałaby do Wandzi, to wróćmy już może do domu.

– Na szczęście polska policja jest bardzo przewidująca. – Konieczny wyjął z dumą pierś. – Władek, co my tam mamy?

– Melduję posłusznie, że buty zaginionej i pomadkę – zaraportował podkomendny.

– Przekaż rzeczony dowody panu jasnowidzowi – zaordynował aspirant.

Władek wyjął z foliowej torby beżowe szpilki i pomadkę w osobnej torebce.

– Proszę dać mi chwilę – powiedział Eugeniusz. Usiadł na kanapie z butami w jednej dłoni i pomadką w drugiej, i zamknął oczy.

– Nic nie widzę – zakomunikował po chwili.

– Oj, to szkoda, w takim razie trzeba będzie się zbierać – westchnął Wężyk, wstając z miejsca.

– Niech pan siada! Eugeniusz musi się skupić. – Kowalski machnął ręką. – Myśli pan, że taka wizja to od razu przychodzi?

– Proszę o ciszę! – zażądał jasnowidz. – Teraz widzę... leśną drogę, jakaś kobieta biegnie wśród drzew. Ma na sobie niebieski płaszcz...

– To nie Wandzia, nie miała takiego ubrania. – Wężyk ponownie wstał.

– Przecież ujawniliśmy na zdjęciach zaginioną ubraną w taki właśnie płaszcz – sprostował Władek. – Stała nad jeziorem ubrana w rzeczony sztukę odzieży

– A! Ten płaszcz! – Wężyk palnął się w głowę. – Niebieski. Całkiem o nim zapomniałem. To pewnie dlatego, że go nie lubiła.

– Na co drugim zdjęciu w nim jest – podsunął Władek.

– Uważała, że na zdjęciach lepiej wychodzi w niebieskim, ale tego koloru nie trawiła. Kobiety takie są – poinformował go Wężyk.

– Co z tą zaginioną? – zniecierpliwił się Konieczny i popatrzył na Eugeniusza.

- Ucieka i ucieka.
- To już wiemy. Ktoś ją goni?
- Tego nie widzę – westchnął wróż. – Dostrzegam tylko swoje dłonie. Trzymam w nich kij.
- Pan gonił zaginioną? – Władek poderwał się na równe nogi.
- To wizja. Pan Eugeniusz aktualnie opisuje sytuację z punktu widzenia mordercy – wyjaśnił Kowalski.
- To ona nie żyje? O Boże! – przeraził się Wężyk. – Wracajmy, muszę przygotować dzieci na tę wiadomość.
- Niech pan siada. – Konieczny klepnął go w ramię. – Zaczyna się robić ciekawie. Może wróż zobaczy jakiś szczegół mogący zidentyfikować napastnika.
- Tak, oczywiście, wszyscy tego chcemy. – Wężyk otarł pot z czoła.
- Słyszę krzyk i uderzenie, a potem głos cichnie – powiedział Eugeniusz złowróźnie.
- Jakieś szczegóły topograficzne? – popędził go Konieczny.
- Drzewa, dużo drzew – mrucał wróż.
- Niewiele nam to daje. Jakie gatunki?
- Nie wiem, nie znam się na tym. – Eugeniusz wzruszył ramionami. – Raczej liściaste. I nieduży pagórek.
- Zanotowałem. Dużo drzew i pagórek – zameldował Władek.
- Niestety, nie żyje. – Eugeniusz otworzył oczy. – Pani Wanda. Leży za tym pagórkem.
- Niech jej ziemia lekką będzie. – Wężyk znowu wstał. – Dziękujemy bardzo.
- Dajmy jasnowidzowi jeszcze chwilę – zachęcił Kowalski.
- Na pewno nie ma czasu, może ktoś będzie dzwonił z ważną sprawą – podsunął mąż zaginionej.
- Mamy wróża zapasowego – wyjaśnił cierpliwie biznesmen. – W razie czego przejmie połączenie.
- Wizja odeszła – oznajmił Eugeniusz. – To już wszystko.

– Mówiłem. W takim razie dziękujemy i wracamy do domu. Biedna Wanda. Jak ja to dzieciom powiem? – Wężyk wybiegł na korytarz.

Władek sceptycznie pokręcił głową.

– Melduję, że jedna rzecz wydaje mi się podejrzana – oznajmił powoli.

– Mów. – Konieczny skinął dłonią. – Może to będzie jakiś trop.

– Melduję, że w czasie tej wizji wróż trzymał kij. Ja bym go za to zamknął.

– Kogo? – zdumiał się aspirant.

– No jego. – Władek wskazał na Eugeniusza.

Rozdział 8

Odprowadziłam Koniecznego i Władka na dół. Jacek Wężyk ze smętną miną dreptał za nami.

– Tylko proszę nie wyciągać błędnych wniosków, pani Lucjo – podkreślił aspirant. – Oprócz wizji jasnowidza posiłkujemy się setkami metod operacyjnych i zaginiona Wężyk Wanda, żywa lub martwa, zostanie wkrótce odnaleziona.

– Co ja powiem dzieciom? – wzdychał co jakiś czas Wężyk.

– Może jeszcze żyje – ulitował się Władek. – Na przykład żona kumpla z technikum zniknęła dwa lata temu. Wszędzie jej szukaliśmy, nawet we Włoszech, bo dostaliśmy cynk, że widziano tam podobną osobę. Jasnowidz przewidział, że popełniła samobójstwo, rzucając się do morza, kumpel osiwiiał, a tymczasem ona cały czas bzykała się z takim Staszkiem w hotelu Goplana. Zaszła z nim w ciążę i zostawiła mojego kumpla. – Władek zamilkł i zadumał się głęboko. – No, ale to i tak lepiej, niż gdyby ryby miały ją zżreć, nie?

Sądząc po wyrazie twarzy Jacka Wężyka, nie był on całkowicie przekonany, czy takie rozwiązanie bardziej by go satysfakcjonowało.

– Pani zaparkowała przed wejściem – usłyszałam za sobą głos. Odwróciłam się i zobaczyłam ciecia z groźną miną. O ile oczywiście ktoś osiemdziesięcioletni i malutki może taką mieć.

– Ja tylko na chwilę. – Z zasady nie kłóczę się ze starszymi.

– Proszę przestawić. Jakby każdy tak na chwilę stawiał, to parking byłby na podjeździe – sarkał mężczyzna. – I panowie też przestawią.

– Policja – wyjaśnił Konieczny, sięgając po legitymację.

– I co z tego. – Dozorca wzruszył ramionami. – Samochód po cywilnemu, to przestawić.

- Z polecenia inspektora Wąskiego! – huknął Władek.
- Wąski, hi, hi, hi! – Staruszek się zaśmiał, a potem zakasłał. – Taki ważniak z niego teraz. Wąski, nie Wąski: przestawić!
- Odwrócił się i pomaszerował do swojej kanciapy.
- Znam skądś tę twarz. – Konieczny się zamyślił. – Może inspektor Wąski kiedyś go zamknął?
- Pan inspektor Wąski wielu ludzi zamknął – podsunął usłusznie Władek.
- Wiem – warknął Konieczny. – Chwilę, a czy to nie jest „Mały” ze sprawy o napad na Bank Gospodarstwa Krajowego w osiemdziesiątym piątym?
- Melduję posłusznie, że tamten był młodszy. – Władek wyprężył się służbiście.
- To było prawie czterdzieści lat temu. – Aspirant zrobił zbolowaną minę. – Znam sprawę tylko z akt, ale sprawca dziś jest o czterdzieści lat starszy.
- Melduję, że w takim razie to może być on.
- Przypomnę sobie – obiecał Konieczny. – Ja nie zapominam twarzy. Ale to dziwna koincydencja.
- Melduję, że to może być koincydencja prorocza – zauważył Władek.
- Konieczny westchnął ciężko i zasłonił oczy rękoma. Po chwili jednak spojrzał na mnie, jakby się nad czymś zastanawiał.
- Wiedząc, w jakiej atmosferze przebiegały nasze poprzednie spotkania, muszę panią o coś zapytać, pani Lucjo.
- Wszyscy żyją – odparłam.
- Skąd pani wiedziała, że właśnie to chodzi mi po głowie? – zdumiał się aspirant.
- Przyjęłam założenie, że polskiej policji zależy na tym, żeby wszyscy pozostali żywi – wyjaśniłam. – A w każdym razie jak najwięcej osób.
- Właśnie. A kiedy panią widzę, zaczynam się obawiać, że znajdziemy trupa w jakiejś szafie.

- Mam podobne obawy, widząc pana. – Rozłożyłam ręce.
- Czułbym się spokojniejszy, gdybyśmy jeszcze raz obeszli budynek i sprawdzili – zasugerował Konieczny. Cofnął się w kierunku schodów. – Pani Lucjo, czy jest pani pewna, że wszyscy ci wróże i wróżki byli żywi, kiedy widziała ich pani po raz ostatni?
- Absolutnie – potwierdziłam. – Zwykle nie rozmawiam z umarłymi.
- Ale mogło się zdarzyć, że, powiedzmy, jedna z wrózek nie żyła, a pani do niej mówiła, przekonana, że ona żyje, i nic pani nie zauważyła.
- Zmierzyłam go zimnym spojrzeniem.
- Przypominam sobie tylko jedną sytuację, w której ktoś przekonywał innych, że denatka żyje. Bohaterem tej historii był niejaki aspirant Konieczny, który nie tak dawno wmawiał ratownikom pogotowia, że martwa piosenkarka Wieśka Orzeł ma się świetnie.
- To zupełnie co innego – nabzdyczył się policjant. – Nie da się porównać tych dwóch sytuacji. Więc najlepiej po prostu sprawdzimy, czy wszystkie wróżki żyją, i wracajmy do domu.
- Przy kanciapce stróża Konieczny zatrzymał się i zmierzył starszka spojrzeniem.
- Bank Gospodarstwa Krajowego, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty? – zapytał.
- Zimno, zimno – zachichotał cieć.
- Aspirant pokręcił głową i ruszył dalej.
- Ja mam, pani Lucjo, fotograficzną wręcz pamięć – opowiadał. – Normalni ludzie nie potrafią tego pojąć i czasem zawstydzam ich szczegółami, które bezwiednie wpadają mi w oko. Pamięta pani nasze pierwsze spotkanie, jadalnię w domu tego producenta na Mazurach? Na ścianach wisiało sześć obrazów. Właśnie takie rzeczy powodują, że świadkowie nie mogą uwierzyć...
- Siedem.
- Słucham? – Spojrzał na mnie zszokowany.
- Siedem obrazów – sprostowałam.

– Ułani wymienieni potem na ten okropny kosmos, to dwa – wliczył Konieczny. – Do tego dwa obrazy z martwą naturą i dwa pejzaże z jeziorem i ptactwem.

– I jeszcze portret przodka przy kominku.

– Ach, ten portret przodka.

– Właśnie.

– Oczywiście, pamiętałem go – zarzekał się. – Więc siedem, wliczając w to portret. Nie wiedziałem, że chodzi też o niego.

– To także obrazy – zauważyłam.

– Faktycznie ma pani rację.

– Cieszę się, że pan się zgadza. – Uśmiechnęłam się.

– Jednym słowem, daje pani głowę, że wszyscy byli żywi, tak? Oby się pani nie myliła.

Weszliśmy ponownie na piętro i natknęliśmy się na wróża Euzebiusza. Siedział na kanapie w aneksie kuchennym i czytał książkę.

– To jeden z nich – wyszeptał Władek. – Melduję, że żywy.

– Dziękuję ci za pomoc – sapnął Konieczny.

– Nie ma za co, panie aspirancie. – Podkomendny się uśmiechnął. – A czy istnieje możliwość, żeby jak najszybciej sprawdzić żywotność pozostałych obecnych? Żona zawiadomiła mnie za pośrednictwem wiadomości tekstowej, że ja będę nieżywy, jeśli to będzie długo trwało.

– To by było jakieś rozwiązanie problemu – przyznał Konieczny.

– Zapomnieli panowie czegoś? – Kowalski wyszedł z toalety i zdziwił się na widok policjantów.

– Sprawdzamy służbowo stan żywotności personelu – wyjaśnił Władek. – Proszę się przesunąć.

– Co? – Biznesmen nie zrozumiał.

– Właściciel Kowalski Jan: żywy – zapisał podkomendny w notesie.

– No, to dość oczywiste – roześmiał się mężczyzna.

– Do czasu. Każdy tak mówi, a potem zimny trup – mruknął po cichu Władek.

– Sprawdźmy szybko i będzie z głowy – pogonił go Konieczny. – Te drzwi to...?

– Eulalia – wyjaśniłam. – Tarot.

Konieczny wszedł bez pukania. Wróżka siedziała na kanapie i mówiła do kamery. Przerwała na moment i spojrzała na nas.

– Zapisz, że żyje – polecił Konieczny Władkowi.

– Eulalia, tarocistka: żywa – zanotował podkomendny.

– Idźmy dalej. Kogo tutaj mamy?

– Eurydyka. Linie papilarne.

Aspirant otworzył drzwi. Wróżka Eurydyka robiła sobie właśnie manicure.

– Żywa – zapisał Władek. – Czy one nie mogą mieć jakichś mniej podobnych imion? – poskarżył się. – Trudno to spamiętać.

– Dlatego zapisujesz – poinstruował Konieczny i się wycofał.

– Może jednak przesadziłem z tymi obawami – westchnął po chwili. – Kogo tam jeszcze mamy?

– Eudokię – przypomniałam.

Weszliśmy do trzeciego pokoju. Wróżka spoczywała bez ruchu na fotelu.

– Pani Eudokio – zaczął Konieczny, ale kobieta nie zmieniła pozycji. – Miałem przecucie! – jęknął policjant. – Mówiłem, pani Lucjo!

Podszedł do Eudokii i trącił ją w ramię. Nawet nie drgnęła. Ujął ją za rękę i poszukał pulsu.

– Obawiam się, że doszło do najgorszego – stwierdził ponurym tonem. – Nie wyczuwam tętna. Władek, wezwij ekipę.

– No pięknie, to ja też już nie żyję. Żona mnie zabije – jęknął podkomendny.

Wyjął komórkę i wyszedł na korytarz.

– Matko Boska, jeszcze kilka minut temu z nią rozmawiałem! Nie była przecież taka stara – westchnął Kowalski. – Obiecałem

jej redekację. A tu takie nieszczęście.

W tym momencie zwłoki Eudokii poruszyły się, otwały oczy i spojrzały na nas pytająco.

– Czemu pan mnie maca po rękach? – zapytały groźnym tonem, wyrywając dłoń.

– Sądziłem, że przydarzył się pani wypadek – wydukał Konieczny. – Szukałem pulsu, ale go nie wyczułem. A przecież na kursie doszkalającym miałem zajęcia *Poszukiwanie pulsu u osób rannych i zmarłych*.

– Stara metoda medytacji Indian Navajo – wyjaśniła Eudokia. – Za pomocą transu rozpoczynam medytację i spowalням tętno.

– Aha. Obawiałem się, że pani nie żyje – powiedział Konieczny. – Jako polska policja... eee... dbamy o to, żeby sprawdzić, czy wszyscy obywatele żyją i nie zostali zamordowani.

– Chodzi pan po domach i łapie ludzi za ręce? – Eudokia wybałuszyła oczy. – A jak ktoś po prostu śpi?

– Nie, nie... To taka nadprogramowa akcja. Jeszcze raz przepraszam za kłopot i życzę dużo zdrowia.

– Dziękuję – mruknęła wróżka. – A medytację Navajo polecam na stesy.

Przez drzwi wpadł Władek i wytrzeszczył oczy na widok Eudokii.

– Jezus Maria! Z sąsiadką babci też tak było. Umarła, ale następnego dnia, jak krewni stali z gromnicami wokół łoża, nagle wstała i zawołała, że chce zupę.

– I co? – zainteresowała się kobieta.

– No nic. Dostała, zjadła i zaraz potem umarła naprawdę – wyjaśnił Władek.

– Może jednak to była medytacja? – zapytała Eudokia. – I żywą pogrzebali?

– Eeeee... nie. U nas na Podlasiu to ludzie za bardzo wampirów się bali – skrzywił się policjant. – Na wszelki wypadek serce jej

kołkiem przebili, żeby już nie wstawała. Niby nikt w wampiry nie wierzy, ale wiadomo: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Sam ksiądz tak powiedział i kołek poświęcił.

– No tak, ale idźmy dalej – uciał Konieczny.

– Chwila, melduję, że wezwałem do denatki ekipę, która już tu jedzie! – Władek złapał się za głowę. – To co teraz?

– Odwołaj ich, tylko migiem. Inspektor Wąski nas zamknie, jak się okaże, że ściągnęliśmy ekipę do żywej denatki!

Władek wybiegł na korytarz, a my przeszliśmy do kolejnych drzwi.

– Co jak co, pani Lucjo, ale z panią nie można się nudzić. – Konieczny pokręcił głową.

Byłam zdania, że on sam doskonale sobie radzi z wymyślaniem dodatkowych zajęć, ale oszczędziłam mu tej uwagi.

– A tu kto siedzi?

– Wróżka Eufemia – powiedziałam. – To już ostatnia.

– Chwała Bogu. – Konieczny poczuł wyraźną ulgę. Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Eufemia siedziała z czołem wspartym o kulę, jakby usiłowała wejść do niej tak głęboko, jak tylko się da.

– A ta zasnęła? – zdziwił się aspirant.

Podszedł do kobiety i potrząsnął ją za ramię.

– Pani Eufemio, halo.

Wróżka się nie poruszyła.

Konieczny nie zraził się i wziął ją za rękę.

– Następna amatorka Indian Navajo? – mruknął pytająco. – Też nie wyczuwam pulsu. To ci, co pobili Custerą?

– Nie, to ci, którzy budowali puebla – wyjaśniłam.

– No to nic dziwnego, że postanowili się w nich przespać – zgodził się Konieczny i znowu potrząsnął wróżką. – Halo, pani Eufemio! – wrzasnął.

– Pani Eufemia nie uznawała transu Navajo – chrząknął Kowalski. – Uważała, że tylko trans hawajski, z otwartymi oczami,

jest skuteczny.

– Poza tym na jej dłoniach i czole widać czerwone ślady poparzeń – dodałam.

Konieczny uważnie obejrzał dłonie kobiety.

– Wygląda na oparzenie spowodowane prądem – zauważył. – A ta kula była podłączona?

Kowalski przytaknął.

– Tak, robi duże wrażenie na klientach. Błyskawice w środku bardzo efektownie się prezentują. Ale teraz chyba nie jest pod prądem.

– Bardzo ciekawa koincydencja – wycedził Konieczny, uważnie oglądając przewód wychodzący z kuli i niknący pod obrusem, którym przykryty był stolik. – Ktoś tu majstrował. Dołączył jeszcze trzecią fazę, powodując śmierć tej kobiety. Eufemia położyła na kuli obie ręce i momentalnie zginęła, porażona prądem.

– Matko Boska, jeszcze kilka minut temu z nią rozmawiałem! Nie była przecież taka stara – westchnął znowu Kowalski. – Takie nieszczęście!

– Mamy do czynienia z morderstwem, pani Lucjo – orzekł Konieczny. – Może mi pani wyjaśnić tę niezwykłą koincydencję z panią i ze zwłokami, gdziekolwiek pani się uda?

– Wygląda na to, że pojawiają się natychmiast, gdy pan przyjeżdża – wymigałam się.

W tym momencie otwarły się drzwi i wpadł podniecony Władek.

– Panie aspirancie, melduję, że się udało, chociaż nie było łatwo. Chłopaki już wyjeżdżali, ale jakoś ich ubłagałem, żeby zostali i wykasowali z systemu komunikat o denatce. Ktoś już zawiadomił inspektora Wąskiego, że jest trup, ale na szczęście użyłem swoich kontaktów i inny ktoś powiedział mu, że już to wyjaśniliśmy i kobieta żyje. Tylko ten drugi ktoś chce dużą butelkę whisky za przysługę.

W tym momencie jego wzrok ześlizgnął się na ciało Eufemii oparte o kulę. Władek zbladł.

– Czy ona medytuje po indiańsku? – zapytał piskliwym głosem.

– Ona nie żyje – stwierdził Konieczny.

– Na pewno nie medytuje?

– Bez wątpienia.

– Jezus Maria – szepnął Władek. – Inspektor Wąski...

– Matko Boska. – Aspirant objął głowę rękami i usiadł obok ciała. – Zamknie nas.

Postanowiłam przejąć inicjatywę.

– Gdzie pan trzyma whisky? – zapytałam Kowalskiego.

Rozdział 9

Whisky była niezła. Może nie magiczna, ale zdecydowanie warta grzechu. Jan Kowalski potrafił sobie dogodzić. Konieczny i Władek wyglądali na trochę bardziej zrelaksowanych, kiedy okazało się, że ekipa dochodzeniowa jednak jedzie, a co więcej, ktoś od Władka zdołał załatwić, żeby z papierów zniknął chaos decyzyjny dotyczący liczby zgłoszeń i denatów. Co prawda kosztowało to kolejną dużą butelkę whisky, ale Kowalski miał w barku jeszcze kilka nienapoczętych.

Aspirant skończył rozmawiać przez komórkę i odwrócił się do mnie z wyrazem triumfu na twarzy.

– Nie uwierzy pani, pani Lucjo, co powiedział mi właśnie inspektor Wąski.

– Że możemy już wracać? – zapytał z nadzieją Władek.

– Żeby poprowadził pan sprawę – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Dokładnie tak. Skąd pani wie? – zdziwił się Konieczny, jakby nie znał mnie już trochę. – Inspektor Wąski wyraził nadzieję, że skoro już jesteśmy na miejscu, to raz-dwa wyjaśnimy sytuację. Bo nie ma pod ręką żadnej innej ekipy śledczej.

– Żona mnie zabije – jęknął Władek.

– Nie ukrywam, pani Lucjo, że zrobiło mi się przyjemnie, kiedy inspektor Wąski tak docenił moje umiejętności i kwalifikacje – perorował dalej Konieczny. – W końcu mógłby ściągnąć każdego, ale uznał, że moja osoba jest gwarantem sukcesu.

– A mnie zabije żona – powtórzył Władek z naciskiem.

– Uprzedzi tylko mój ruch. – Aspirant, w znakomitym humorze, zatarł ręce. – Muszę przyznać, pani Lucjo, że nie spodziewałem się, iż moje akcje u inspektora Wąskiego stoją tak wysoko.

– A co konkretnie powiedział? – chciałam wiedzieć.

– „Zostańcie na miejscu. Znając was, mam nadzieję, że do wieczora sprawa będzie rozwiązana”. Koniec cytatu.

– Powiedział „was”? Czyli to też o mnie? – Władek przez moment się rozpromienił.

– Nie o tobie. A właśnie... Zapomniałem dodać, że wspomniałem inspektorowi Wąskiemu o pani, pani Lucjo. – Konieczny się zawahał. – Rozumie pani, inspektor Wąski musi znać szczegóły. Obawiałem się naturalnie, że może kazać panią zamknąć, ale niewątpliwie szybko odzyskałaby pani wolność.

– Niewątpliwie. – Kiwnęłam głową.

– Najwyżej miesiąc i wyszłaby pani, osobiście bym się postarał. Na szczęście inspektor Wąski nie nalegał na aresztowanie pani, a nawet zgodził się, żeby pozostała pani na miejscu.

– To bardzo uprzejme z jego strony.

– Tak, inspektor Wąski to niezwykle miły człowiek – przyznał Konieczny, a po chwili zastanowienia dodał: – Chyba że czymś się go rozzłości. Wtedy potrafi być groźny.

– Z pewnością.

– Teraz jednak nie było źle. Z początku miał, co prawda, wątpliwości, czy mojego oglądu śledztwa nie zaciemni to drugie dochodzenie, w sprawie zaginięcia żony Wężyka Jacka. W końcu jednak przekonałem go, że ani sprawa Wężyków, ani zadziwiająca koincydencja, czyli pani obecność na miejscu przestępstwa, nie przeszkadzają mi w odkryciu sprawców. „Przypilnuj tylko, żeby nie wyjechała do czasu wyjaśnienia zagadki” – powiedział inspektor Wąski. I miał na myśli panią, pani Lucjo. To oczywiście dla mnie dodatkowy obowiązek, ale praca z inspektorem Wąskim nauczyła mnie radzenia sobie z wieloma zadaniami równocześnie.

– Szkoda – westchnęłam.

– Co „szkoda”? – Spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Że nie będzie pan mógł wywiązać się z powierzonego panu przez inspektora Wąskiego zadania. Bo ja się będę zaraz zbierać. W końcu nie powinnam przeszkadzać w pracy polskiej policji. I do

tego wcześniej dobitnie pan podkreślił, że nie może pan na każde zawołanie spełniać drobnych próśb. Zwłaszcza pochodzących od osób cywilnych. Nawet takich osób cywilnych, które w przeszłości pomogły panu rozwiązać zagadki innych śledztw.

– Ach, to. – Koniecznemu zrzęła mina.

– Owszem – potaknęłam.

– Ale rozumie pani chyba, że to było takie droczenie się.

Nie rozumiałam. Dałam temu wyraz.

– Ależ oczywiście, pani Lucjo. Do głowy mi nie przyszło, by nie pójść na rękę dobrej znajomej. Co nie znaczy oczywiście, że pochwalam przekraczanie szybkości oraz parkowanie w miejscach niedozwolonych. Raz czy dwa można jednak przymknąć oko.

– Lub szesnaście razy – uściśliłam.

– Lub szesnaście razy. Któż z nas nie przekroczył nigdy prędkości o kilka kilometrów, niech pierwszy rzuci kamieniem – stwierdził Konieczny filozoficznie. – Od czegoż w końcu jest policja, jeśli nie od dbania o dobrostan obywateli.

– O sześćdziesiąt trzy kilometry – sprecyzowałam.

– To się zdarza nawet najlepszym kierowcom, pani Lucjo – zapewnił aspirant. – Najlepiej będzie, jeśli od razu da mi pani te mandaty.

– Ja też mogę? – zainteresował się Kowalski.

– Skąd taki pomysł? – Konieczny sprowadził go na ziemię.

– Bo... policji chodzi o dobrostan. Sam pan tak powiedział – wydukał speszony biznesmen.

– Nie każdego obywatela dobrostan dotyczy w ten sam sposób – stwierdził policjant. – Skoro wszystko już załatwione, pani Lucjo, to może wyjdziemy na chwilę omówić dalszy przebieg śledztwa.

– Też wyjdę! – Władek skoczył na równe nogi. – Muszę przestać samochód.

– A pan dokąd? – Konieczny spojrzał na Wężyka, który także się podniósł. – Proszę siedzieć koło wróża zapasowego i nie ruszać się stąd ani na moment.

– Myślałem, że już jedziemy do domu. Co ja powiem dzieciom?!

– Siedzieć! – ryknął Konieczny.

Wróż Euzebiusz posunął się, żeby zrobić Jackowi Wężykowi miejsce na kanapie, a my zeszliśmy na dół. Przez całą drogę po schodach aspirant zastanawiał się na głos, skąd zna ciecia.

– Nie zapominam twarzy, pani Lucjo – powtarzał. – Gdzieś go widziałem.

Kiedy przechodziliśmy obok kantorka, zatrzymał się nagle i wycelował w staruszkę palec wskazujący.

– Hotel Continental, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy? Mówi to panu coś?

– Napad i rabunek biżuterii z sejfu. – Ciec skinał głową. – Dwie diamentowe kolie. Sprawcy schwytani, ale biżuterii do dziś nie udało się odzyskać.

– Ha! – zawołał Konieczny. – Wiedziałem. Gang Doktora. Oprócz niego byli jeszcze Docent i Magister. Pan Doktor?

– Zimno – zarechotał staruszek.

– Docent? No bo przecież nie Magister. Tamten miał wtedy ze dwadzieścia lat, to teraz miałby sześćdziesiąt parę.

– Pudło. Proszę próbować dalej – zakaszła stróż.

Konieczny pokręcił głową i ruszył przed siebie.

– Nie daję mi to spokoju, pani Lucjo – zwierzył się, kiedy wyszliśmy na zewnątrz. – Przecież pamiętam tę twarz z jakiegoś zdjęcia w aktach. To musi być sprawa sprzed czterdziestu lat, był wtedy młodszy.

– Przystawię samochód – zafrasował się Władek. – Stoi na słoncu, to nie jest dla niego dobre.

– Zostaw – polecił mu Konieczny.

– Przystawię. Bo się nagrzeję i będzie gorący w środku.

Władek podbiegł do opla, wsiadł i przesunął auto kilka metrów dalej, w cień.

– Niepokoję się o niego, pani Lucjo – wyznał aspirant, przypatrując się tym manewrom. – Władek od początku był specyficzny,

ale ostatnio zrobił się jeszcze... specyficznieszy. A skoro jesteśmy już w temacie: co pani sądzi o tych wrózkach i wróżach? Oni wszyscy są zdrowo rąbnięci. Myśli pani, że z tym przepowiadaniem przyszłości oni tak na serio?

– Zdecydowanie – potwierdziłam.

– I wierzą w te klątwy?

– Tak przypuszczam.

– Moja babcia wieszczyła z żaru pod kuchnią – oznajmił Władek, który nagle zmaterializował się obok. – Kiedy się ożeniłem, to mi powiedziała: „Wnusi, widzę, że wciąż biegasz”. Pomyślałem, że babci chodzi o sport, ale ona przewidziała, że żona cały czas będzie mnie goniła, żebym coś załatwiał i przynosił. Jak tylko usiądę, to się drze: „Co tak siedzisz, nierobie?”.

Wróciliśmy do budynku, znowu mijając ciecia. Władek na chwilę się zatrzymał i uśmiechnął do staruszka.

– A za godzinę to gdzie się cień przesunie? – zapytał.

– W stronę tego hyundaia – wskazał głową mężczyzna.

– Mówiłem, że jest specyficzny? – syknął mi do ucha Konieczny. – I coraz specyficznieszy, pani Lucjo.

Rozdział 10

Mina aspiranta sugerowała, że zamknąby wszystkich.

– Zamknąby ich wszystkich – oznajmił, na wypadek gdybym jednak miała wątpliwości.

Wróżki w aneksie kuchennym robiły sobie coś do picia. Światełka nad drzwiami błyskały, informując o kolejnych połączeniach przychodzących. Wróż zapasowy biegał od jednych drzwi do drugich, chlapiąc na wykładzinę kawą z kubka, dwoił się i troił, żeby obsłużyć wszystkie zgłoszenia. Jacek Węzyk siedział bez ruchu na kanapie i mamrotał coś do siebie pod nosem. A Kowalski łapał się za głowę.

– Taka tragedia, o Boże! No ale życie toczy się dalej, prawda? Przecież ludziom muszę zapłacić i jeszcze te ZUS-y, KRUS-y, SRUS-y, PIT-y i CIT-y. A niby z czego? Może dałoby się przenieść zmarłą do schowka? Wróż zapasowy wziąłby drugą kulę i odpowiadał na telefony.

– Słucham? – Konieczny szeroko otworzył oczy.

– Mamy tutaj bardzo wygodny schowek. – Kowalski skoczył rączo w stronę drzwi bez lampki i otworzył je na oścież. Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie wielkości dwóch metrów kwadratowych służące do przechowywania szczotek. – Można by tutaj umieścić Eufemię. Oczywiście tymczasowo, tylko na tyle, żeby nie zaburzać procesu wróżenia – wytłumaczył.

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytał aspirant spokojnie. Zbyt spokojnie.

– Mamy taki leżaczek, elegancko się go rozłoży i ułożymy na nim Eufemię – wytłumaczył ucieszony Kowalski. – Będzie tu miała spokój, no a wróż zapasowy będzie mógł zająć jej miejsce i wróżyć z kuli. Drugiej, jak nadmieniałem.

– Chce pan umieścić denatkę tutaj, obok mopa i odkurzacza? – upewnił się Konieczny.

– Odkurzacze zaraz wyniosę, bo leżaczek się nie rozłoży – spre-cyzował biznesmen.

Policjant chwycił się za głowę.

– Pani Lucjo, ja oszaleję. I wszystkich zamknę!

– Pan aspirant Konieczny uważa, że to nie jest najlepszy pomys-
sł – poinformowałam Kowalskiego.

– Ja już dawno miałem wizję, że Eufemia leży bez życia. – Wróż
Eugeniusz ponuro pokiwał głową.

– Widział pan w tej wizji osobę mordercy? – zainteresował się
Władek.

– Niestety. Tylko ręce.

– To szalenie utrudnia pracę operacyjną – skrzywił się Ko-
nieczny. – Czyje to były ręce: kobiety, mężczyzny?

– W rękawiczkach, a poza tym widziałem je jak przez mgłę,
więc trudno powiedzieć. W każdym razie zbliżały się do nie-
szczęsnej Eufemii z zamiarem pozbawienia jej życia.

– No to jest już go pozbawiona – stwierdził filozoficznie Wła-
dek.

– Czy te ręce dokonywały jakichś operacji w sieci elektrycz-
nej? – zainteresował się Konieczny.

Eugeniusz zamknął oczy i zmarszczył czoło.

– Widzę, jak podłączają przewód.

– To te! – ucieszył się Władek.

– A widzi pan cokolwiek innego? Jakies narzędzie? A może
buty? Niech pan spojrzy w dół. Buty zawęziłyby nam krąg podej-
rzanych.

– Widzę je. – Eugeniusz uśmiechnął się do swojej wizji. – To
crocsy.

– Ha! – ucieszył się Konieczny. – To mamy sprawcę!

Po chwili jednak mina mu zrzędła.

– Pan ma przecież na nogach crocsy.

Eugeniusz, wytrącony z transu, otworzył oczy i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem.

– Wszyscy tu nosimy takie same buty – wyjaśnił. – Przebieramy się, żeby było wygodniej, i każdy ma własne. Wszystkie są czarne.

– Pani Lucjo, wolałbym chyba zdać się na sprawdzone tradycyjne techniki operacyjne – westchnął Konieczny. – Wizje nie dostarczają potrzebnych informacji.

– A mówiłam – wtrąciła się Eurydyka. – Przyszłość nie jest jedna i niezmienna. Linie na naszych dłoniach tylko sugerują, co się może wydarzyć. Powtarzałam Eufemii już od dawna, że jej linia życia kończy się nagle, ale nie reagowała.

– Zgłosiła pani ten fakt? – zapytał Władek.

– Nagłe zakończenie linii życia? – Eurydyka szeroko otworzyła oczy.

– Każdy obywatel będący w posiadaniu informacji o zagrożeniu czyhającym na innego obywatela lub o wejściu w posiadanie czyjegoś mienia znacznej wartości jest zobowiązany do kontaktu z organami i zgłoszenia tego faktu – wyrecytował Władek poważnym tonem.

– Tobym musiała wciąż tylko zgłaszać i zgłaszać organom – skrzywiła się Eurydyka. – Dziś na przykład wróżyłam z ręki pani Justynie i to samo. Nagle linia życia się urywa.

– Nazwisko i adres obywatelki. – Władek otworzył notes.

– A skąd mam wiedzieć, nie pytałam! – obruszyła się kobieta.

– Zapytać, zapisać, zgłosić organom – pouczył Władek. – Kiedy spodziewana jest terminacja linii życia wspomnianej Justyny?

– Nie mam pojęcia. – Wróżka wzruszyła ramionami. – Przecież na ręce nie widzę daty. Tylko linia się kończy. Może za miesiąc, może za trzy lata. Pan da rękę, to zobaczą.

Chwyciła dłoń Władka. Ten zbladł i oblizał wargi.

– Linia życia... – zaczęła.

– Terminuje się – jęknął cicho podkomendny.

– A nie, długa bardzo – ucieszyła się Eurydyka. – Zdrowy też pan będzie, tylko na wątrobę musi pan uważać. Pije pan?

– Ależ skąd! – oburzył się Władek.

– O, tu widzę problem. Linia losu. Pourywana, kończy się nagle.

– Nie będę miał losu – zmartwił się policjant.

– Będzie pan miał – uspokoiła go Eurydyka. – Tylko kariera nie zapowiada się kwitnąco. O, tutaj się urywa. Jakby ktoś pana blokował, nie pozwalał osiągnąć więcej.

– Jak się ten ktoś nazywa? – Władek zmarszczył brwi.

– Przecież nie ma pan wypisanego na ręce nazwiska – strofowała go Eurydyka.

– Ale to ktoś z pracy?

– Zapewne.

– Wiedziałem! – Podkomendny sapnął oburzony.

– I czeka pana duża strata – dodała wróżka.

– Nie może być! – Władek aż podskoczył.

– Straci pan coś, na czym bardzo panu zależy i czego zdobycie było bardzo trudne – kontynuowała Eurydyka.

– Rany boskie! – zdenerwował się policjant. – Czy to coś znajduje się blisko?

– Tak, bardzo – potwierdziła kobieta. – A cała rzecz nastąpi szybko.

– Może zostawmy to już – przerwał im Konieczny.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Władek.

– Ale wróćmy do śledztwa – zasugerował aspirant, a napięte mięśnie jego szczęki pokazywały, że to więcej niż tylko sugestia. – Pani Lucjo...

– Mam wizję! – wszedł mu w słowo Eugeniusz. – Widzę, że wszystkich nas zamykają.

– Za morderstwo? – ożywił się Władek.

– Jeśli szczerze pan wyzna, co zaszło, zostanie to wzięte pod uwagę przez sąd przy orzekaniu wymiaru kary – pouczył wróża

Konieczny.

– W sensie: zamykają nasze centrum – wyjaśnił wróż Eugeniusz. – Ciemne nadejdą dni, wypełnione smutkiem i brakiem gotówki, jeśli kobieta weźmie udział w śledztwie.

– Znowu widzi pan te ręce? – Konieczny się skrzywił.

– Widzę swoje ręce, jak wyciągają portfel, otwierają go, a w środku jest tylko trochę bilonu – westchnął Eugeniusz.

– Nie mogę pomóc. – Aspirant wzruszył ramionami. – Inspektor Wąski zawsze mawiał, że ujawnienie sprawcy zbrodni jest najważniejsze. Nawet jeśli trzeba coś poświęcić.

– Ale żeby zaraz moją gotówkę? – jęknął wróż.

– Jestem gotowy na takie poświęcenie – oznajmił Konieczny. – Zaczniemy już może wreszcie to choler... to znaczy śledztwo.

– Moment. – Władek wyprężył się na baczność. – Melduję, że muszę przestawić samochód.

– Przecież dopiero co przestawiałeś – zdumiał się jego szef.

– Melduję, że przypomniałem sobie, że zostawiłem w środku... papierosy – wyznał podkomendny.

– Masz je w kieszeni. – Konieczny zmarszczył brwi. – W budynkach biurowych i tak nie wolno palić.

– I melduję, że zapalniczkę. – Władek już stał przy drzwiach.

– Chodźmy z nim, pani Lucjo – mruknął aspirant, kiedy jego podwładny zniknął na korytarzu. – Sama pani widzi, jaki jest specyficzny. Odnoszę wrażenie, że również niektórzy funkcjonariusze policji ulegają powolnej degeneracji w kontakcie z wariatami.

Zeszliśmy na dół. Władka znaleźliśmy pogrążonego w rozmowie z dozorcą.

– Kilka worków lodu? – powtarzał staruszek z powątpiewaniem. – Na co panu aż tyle? Żeby ciało się nie rozłożyło?

– Melduję, że właśnie tak – przytaknął policjant.

– Oszalał! – syknął do mnie Konieczny i krzyknął do kolegi: – Zaraz przyjadą technicy, denatka nie może być niczym obłożona.

– Tak jest, panie aspirancie! – Władek wyprężył się jak struna. – To melduję, że jeszcze pójdę przestawić ten samochód. A ma pan może wiatrak? – zapytał ciecia.

– A mam, służbowy, na stanie. – Dozorca pokazał stareńki wentylator. Niewykluczone, że obaj byli w zbliżonym wieku.

– Mógłbym pożyczyć do schłodzenia samochodu? – zapytał Władek z nadzieją. – Bardzo się grzeje w trasie. Naprawdę.

– Kompletnie oszalał – szepnął mi Konieczny do ucha. – Widzi pani, jaki specyficzny? I od samego rana taki jest. Spóźnił się pół godziny, a potem, kiedy pojechaliśmy po męża tej zaginionej, nie chciał otworzyć bagażnika, żeby tamten mógł schować torbę. Twierdził, że się kłapa zacięła. Wróć lepiej na górę, bo inaczej go zamknę.

I ruszył schodami na piętro.

Staruszek zerknął na mnie i zachichotał.

– Jest pani ciekawa, co tu się dzieje, prawda?

Zmierzyłam go zimnym spojrzeniem.

– Ja to wiem – odparłam.

– Chciałaby pani zajrzeć do bagażnika opla? – dopytywał cieć.

– Nie muszę nigdzie zaglądać, żeby wiedzieć. – Wzruszyłam ramionami. – Zaglądam, żeby potwierdzić to, co już wiem. Na przykład fakt, że Władek ma w bagażniku pół świniaka. Albo tylną ćwiartkę, nigdy nie byłam dobra w tym nazewnictwie. I boi się, że mu w słońcu zaśmierdnie. A żona go zabije.

Rozdział 11

Wróż zapasowy Euzebiusz miał rozwichrzone włosy i błędny wzrok, a spodnie całe w kawie, ponieważ kubka z napojem nie wypuszczał z dłoni ani na moment. Też byście tak wyglądali, gdybyście musieli na zmianę wróżyć ze szklanej kuli i stawiać tarota, i to na akord, bo klientki dzwoniły co chwila. Ja natomiast byłam zadowolona. Naprędce zaaranżowałam schowek na szczotki jako stanowisko dla zapasowej szklanej kuli. Z pewnością nikt z dzwoniących się nie domyślił, że Euzebiusz ma pod nogami karton ze środkami czyszczącymi, a za powieszoną na tylnej ścianie kotarą ustawione są w rzędzie mopy. Niestety nic nie mogłam poradzić na to, że migająca żarówka, sygnał przychodzącego połączenia, wciąż błyskała nad drzwiami, za którymi leżała zmarła Eufemia. Wróż Euzebiusz już trzy razy się pomylił i wpadł do środka, a potem jeszcze szybciej wypadł, krzycząc: „Sorry, przepraszam bardzo”, jakby denatka mogła to usłyszeć.

Właśnie miał chwilę przerwy i klapnął w kuchni obok mnie, Kowalskiego, Koniecznego, Władka i Jacka Wężyka. Kowalski zdecydowanie powinien dokupić drugą kanapę.

– Ja tak nie mogę dłużej – jęknął wróż i łyknął kawy z kubka. – Jakaś Agnieszka domaga się, żebym powiedział jej, co dalej z tym facetem z kryształowej kuli. Skąd ja mam wiedzieć, co to za gość. Przecież ona – wskazał na drzwi, za którymi znajdowały się zwłoki wróżki – już mi nie powie. A poza tym potrzebuję dłuższych przerw, bo pieprzy mi się tarot z kulą. Dzwoni klientka i pyta, co widzę. Mówię jej, że wychodzi Mag i trzy Kielichy, a ona pyta, czy w kuli.

– Kiedyś się powiększy zespół – zapewnił Kowalski.

– Ale kiedy? – westchnął Euzebiusz. Wysączył ostatnie krople kawy, po czym wstał i włączył czajnik, żeby zalać kolejną plujkę. –

Długo tak nie pociągnę.

– Pani Łucjo, niech pani coś wymyśli – zażądał biznesmen. – Akurat teraz mamy katastrofę, a pani jest specjalistką od katastrof. Klientki odejdą nam do innych wrózek. A właśnie. – Uniósł palec wskazujący. – Może to wszystko jest sprawką konkurencji, która wysłała swoich ludzi, żeby pozbyć się Eufemii i zrobić tu niezły rozpier... chaos?

– Mam pewien pomysł – wtrąciłam.

– Ale pani Łucjo, to nie czas na pomysły, pora przejść do czynów!

– Jeśli o mnie chodzi, to jedno i to samo – uświadomiłam go i wstałam z miejsca.

Skierowałam się w stronę drzwi. Kowalski odprowadził mnie zdumionym spojrzeniem, natomiast Władek zerwał się z krzesła i potruchtął za mną ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Zaopiekuję się panią Lucją! – zawołał w stronę Koniecznego, który tylko kręcił cały czas głową. Nie usłyszałam, co wymamrotał pod nosem, ale mogłam się założyć, że było tam słowo „specyficzny”.

Zeszłam do kantorku. Ciec uśmiechnął się na mój widok.

– Pani kolega sobie przypomniał? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Ale pani od razu mnie rozpoznała.

To było tak oczywiste, że nawet nie chciało mi się potwierdzać. Zamiast tego powiedziałam:

– Panie Jurku, miałabym robotę.

– Zamieniam się w słuch. – Staruszek uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Na górze, ze szklaną kulą. Stawka godzinowa razy dwa.

– Razy trzy – odpowiedział natychmiast. Dobry był, spodziewał się tej propozycji.

– Razy trzy – potwierdziłam. – I potrzebuję klucza do Iglotexu na parterze. Mają tam chłodziarki przemysłowe, prawda?

– Oczywiście, jedna prawie cała wolna. Reszta z zielonym groszkiem i marchewką.

– Nie muszą wiedzieć, czyż nie? – spytałam jeszcze dla porządku.

– Razy cztery. – Wyszczrzył się jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe.

– Razy cztery – zgodziłam się.

Władek obserwował wszystko z szeroko otwartymi oczami. Cięć wręczył mu klucz. Policjant chwycił go odruchowo i teraz patrzył to na przedmiot w dłoni, to na mnie, to na dozorcę.

– Na pana miejscu udałbym się do samochodu i jeśli znajdowałyby się w nim coś, co mogłoby się zepsuć – mówię oczywiście czysto hipotetycznie – zaniósłbym to coś do sali sto trzynaście, do chłodziarki po prawej stronie – powiedział cięć. – A my tu z panią Lucją będziemy jeszcze chwilę konwersować i niczego nie zauważymy.

– Ale czego? – wydukał Władek.

– No właśnie niczego – wyjaśnił staruszek.

Po twarzy Władka nagle przebiegł cień zrozumienia. Zacisnął dłoń na kluczu i pędem ruszył do samochodu. Dozorca popatrzył za nim z politowaniem.

– Ciężki przypadek.

Rozdział 12

Eufemię zabrał karawan, technicy policyjni odjechali, a lateksowe (lub woskowe) manekiny wpatrywały się w nas lubieżnie z kąta pokoju. Tylko kot Anubis (wcześniej Felek) nic sobie nie robił z zaistniałej sytuacji. Siedział na stole obok szklanej kuli i wylizywał się pod ogonem.

Chiński cud techniki został już obfotografowany i zbadany przez ekipę techniczną, a teraz stał na biurku przed Koniecznym, który przyglądał mu się w nabożnym skupieniu.

Postument, a właściwie skrzynka, na której kula była umieszczona, został otwarty i widać było wystający ze środka kłęb różnokolorowych przewodów. Konieczny wpatrywał się w notatki zrobione przez policyjnych techników i z namysłem kiwał głową.

– Sprawa jest bardzo prosta, pani Lucjo – przemówił z namaszczaniem. – Proszę tylko posłuchać: morderca dokonał zamiany przewodów transportujących prąd elektryczny A1, B3 i C4, czyli tych tutaj. – Machnął ręką w stronę różnokolorowej zbieraniny. – Czy wie pani, dlaczego jest nam to na rękę i jak bardzo pomoże w ujawnieniu sprawcy tego niegodnego czynu?

– Zabójca wiedział, które kabelki podłączyć, żeby kula śmiertelnie poraziła prądem osobę, która położy na niej obie ręce – dopowiedziałam. – Klasyczny obieg zamknięty.

– Sądziłem, że zaskoczę panią tym wnioskiem. – Konieczny był zdumiony.

– Nieustannie mnie pan zaskakuje – odparłam. I to była prawda.

– Otóż, pani Lucjo – kontynuował niezrażony aspirant – podłączenie tych kabelków tak, by w pożądanym dla mordercy czasie prąd śmiertelnie raził naszą wróżkę... eeee... – Zawiesił się na chwilę. – Eulalię...?

– Eufemię – poprawiłam. – Eulalia to ta od tarota i wciąż żyje.
– Oczywiście – sapnął Konieczny. – A więc sprawca zabija prądem biedną wróżkę Eufemię... One wszystkie naprawdę mogłyby mieć mniej podobne imiona. Gdyby rzecz działa się w filmie, widzowie zupełnie by się pogubili w koincydencjach. Powiedzmy, że bohater nazywa się Luke Skywalker, a jego przeciwnikiem jest Luke... Luke...

– Luke Majchrzak – wspomógł go Władek. – Miałem kolegę Majchrzaka.

– Nie o to mi chodziło – zgromił go Konieczny, ale nie zraził się i kontynuował. – Powiedzmy: Luke Highwalker. Ci dwaj Luke'owie by się widzom pomylili. Nie wiadomo by było, który jest Jedi, a który nie, a może wszyscy Luke'owie to Jedi. A więc Eufemia. Na czym to ja stanąłem?

– Na tym, że zmiana połączenia kabelków spowodowała śmierć Eufemii i tylko ktoś ze znajomością układów elektrycznych mógł tego dokonać – pomogłam mu.

– Właśnie miałem do tego dojść – odparł Konieczny z godnością. – Tak, to musiał być ktoś obeznany w układach elektrycznych. A to oznacza, pani Lucjo, że osoba mordercy jest raczej oczywista.

– Rozumiem, że już pan ją wytypował.

– Naturalnie! – Konieczny cały się rozpromienił. – Rzecz jasna nie byłoby to możliwe bez wskazówek, którymi podzielił się ze mną inspektor Wąski.

– Tak właśnie sądziłam – przyznałam.

– Inspektor Wąski zwykł mawiać: „Sprawdź, kto miał wiedzę i możliwość popełnienia zbrodni”. – Konieczny podniósł uroczyście palec. – W tym przypadku oznacza to: kto potrafiłby podłączyć przewody. I analizując listę podejrzanych, natykam się na osobę, która z oczywistych względów ma taką wiedzę. Mogłaby pani to sobie zapisać – dodał z lekką przyganą w głosie.

– Mam znakomitą pamięć – zapewniłam go.

- Eulalia! – wykrzyknął Władek.
- Co? – zdumiał się Konieczny.
- Latała statkiem kosmicznym, musi mieć wiedzę o kablach. W statkach kosmicznych jest ich mnóstwo – wyjaśnił podkomendny.
- To nie był prawdziwy statek kosmiczny. – Aspirant zakrył twarz rękami. – Tylko taki na niby.
- A, no tak. Melduję posłusznie, że zapomniałem. – Władek posmutniał.
- Musimy ich teraz wszystkich przesłuchać – stwierdził Konieczny, wzięwszy kilka głębokich wdechów. – Chociaż wyznam pani, pani Lucjo, że nie cieszę się na tę myśl. Normalnie przesłuchania są, jak mawia inspektor Wąski, silnikiem śledztwa. Inspektor Wąski zawsze podkreśla, że bez silnika daleko się nie zajdzie.
- Bardzo słusznie – pochwaliłam.
- Ale tutaj przewiduję kłopoty. Inspektor Wąski na pewno powiedziałby, trzymając się tematyki motoryzacyjnej, że mamy do czynienia z silnikiem zepsutym. Wręcz zatartym.
- A czemuż to? – zdziwiłam się.
- Przecież to sami wariaci, pani Lucjo. – Konieczny zniżył głos. – Jak mam z nich wydobyć podstawowe fakty, skoro oni tylko wróżą i wróżą?
- I jeszcze obrzucają się klątwami – przypomniałam. – Ale może przynajmniej wydobędzie pan coś z Kowalskiego. On, dla odmiany, myśli bardzo przyziemnie.
- Jego nie będziemy przesłuchiwać – zdecydował Konieczny. – Nie jest podejrzany. Nigdy by nie zaryzykował, że zostanie pozbawiony jednej z pracownic, a tym samym dochodu. Ten facet umie liczyć pieniądze, pani Lucjo.
- Co prawda, to prawda.
- Poza tym to zemsta środowiskowa. Klątwy nie podziały i któreś z nich zdecydowało się sięgnąć po mocniejsze środki.

Mam już wytypowanego sprawcę.

– Naprawdę?

– Nie dostrzega tego pani? Oczywiście sprawcą jest wróż Eugeniusz. Były mechanik samochodowy, posiadający pełną wiedzę o elektryce – wyjaśnił Konieczny. – Zaprosimy go tu, ale sędzę, że to będzie tylko formalność. Był skłócony z Eufemią – aspirant zaczął odginać palce – i ma wiedzę fachową umożliwiającą dokonanie zabójstwa. Reszta, jak mawia inspektor Wąski, jest wyrokiem. Władek, wprowadź Eugeniusza. Sprytnie go podejść w niezobowiązującej pogawędce o elektryce i zmuszę, żeby przyznał się do winy.

Podkomendny zerwał się na równe nogi, wybiegł na korytarz i po krótkiej chwili wciągnął wróża do środka, po czym popchnął go w stronę kontaktu na ścianie przy drzwiach.

– Ja sobie wypraszam! – nasrożył się Eugeniusz i wygładził rękaw.

– Miałeś wprowadzić – zirytował się Konieczny.

– Melduję, że zrozumiałem, że trzeba doprowadzić podejrzanego do elektryczności. – Władek ponownie się wyprężył.

Aspirant wznosił oczy do nieba i wydawało się, że się modli. Możliwe jednak, że po prostu przeklinał.

– Ja? Podejrzanym? – wściekł się Eugeniusz. – Co pan insynuuje?

– Niczego nie insynuuję – wyjaśnił cierpliwie Konieczny. – Niemniej to ciekawa koincydencja, że był pan wcześniej mechanikiem samochodowym.

– To żadna zbrodnia. – Wróż wzruszył ramionami.

– Naprawiał pan samochody – ciągnął policjant.

– Tym właśnie trudnią się mechanicy.

– A samochody mają światła, klaksony i takie inne – dodał Konieczny.

– Tak, mają. – Eugeniusz skinął głową. – Całą masę tych innych. Które działają, aż się zepsują. Wtedy ja je naprawiam. To

znaczy naprawiałem, bo robota wróza jednak lżejsza i godziny lepsze.

– Mamy go! – szepnął do mnie aspirant i mrugnął. – Jak ma-
wia inspektor Wąski: „Mysz weszła do pułapki, czas wezwać kota”.

– Melduję, że kot już jest – zaraportował Władek i wskazał
Anubisa, który zakończył higienę odbytu i wziął się za tylną łapę.

Konieczny przewrócił oczami, wziął głęboki wdech, aż w końcu
ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

– A kiedy przyjeżdżał klient z zepsutym światłem, musiał pan
naprawiać instalację elektryczną? – zwrócił się znowu do wróza.

– Nie. Zajmowałem się mechaniką. To kolega naprawiał elek-
trykę.

– I mamy w to wierzyć? – zapytał sceptycznie Konieczny.

– Ja do elektryki mam dwie lewe ręce – przyznał Eugeniusz
z rozbrajającą miną.

– Nie wygląda to dobrze – westchnął policjant. – A przecież
mogłoby być miło, gdyby pan powiedział, jak było naprawdę. Nie
lubił pan tej Eulalii.

– Eufemii – poprawiłam.

– Obu nie lubiłem – przyznał Eugeniusz. – To wrózenie z linii
papilarnych i tarota to śmiech na sali. Tylko wizje i jasnowidzenie
dają wgląd w przeszłość i przyszłość. Widziałem rachunki, potem
dłonie w rękawiczkach trzymające przewody...

– Skoro przy tym jesteśmy... – Konieczny przesunął w stronę
wróza kulę z wystającym kłębem kabli. – Czy w pana wizji te ręce
wyciągają z kłębowiska niebieski przewód, zamieniają go z czer-
wonym i dołączają żółty, a sprawca nienawidzi swojej konkurent-
ki? Czy morderca nie uważał przypadkiem, że Eufemia oszukuje
i że tylko on ma prawdziwe wizje?

– Ma pan na myśli te brązowe i szare kabelki? A poza tym to
nie moje ręce! – Eugeniusz podniósł głos. – Wiedziałbym chyba, że
moje, gdybym zobaczył je w wizji.

– Były przecież w rękawiczkach – przypomniał mu Konieczny. – Anonimowe, a jednak jak własne.

– Może założy pan rękawiczki i rozpozna swoje ręce – podsunął Władek.

Aspirant zmierzył go wzrokiem i jego podwładny umilkł.

– Każdy sąd zrozumie, że nie mógł pan nad sobą zapanować – podsunął Konieczny.

– Dziadek zawsze to powtarzał. – Władek pokiwał głową. – Mówił mi: „Wnusi, w życiu trzeba być uczciwym. Ale jak się trafi pół świniaka, to bierz i nie pytaj czyje, a pan Bóg pobłogosławi”.

– Nie do końca o to mi chodziło – mruknął Konieczny.

– Ale też mówił, że bliźniego swego kochaj, chyba że to swołocz, to wtedy ubij – uratował się Władek. – Jednego to sam nawet ubił, ale ten to naprawdę był swołocz.

– Zdaje się, że nie chcę wiedzieć, bo będę musiał dziadka zamknąć – powiedział aspirant.

– A to się już nie uda, bo dziadek terminował życie piętnaście lat temu. Zawsze mówił, że jak się napije, to zaśnie na furze, a koń sam go do domu dowiezie, ale raz koń się znarowił i wywiózł go nad rzekę, dziadek wpadł do wody i się utopił. A zawsze mówił: „Koń cię, wnusi, nie oszuka”. A jednak oszukał. – Władek się zamyślił.

– Będziemy o tym pamiętać – warknął Konieczny. – Wracając jednak do zamordowanej pani...

– Eufemii – pomogłam.

– Miałem to na końcu języka – uśmiechnął się policjant. – Niestety muszę stwierdzić, że jest pan...

– Daltonistą – weszłam mu w słowo.

– Co takiego? – zdumiał się Konieczny.

– Jakiego koloru są te przewody? – Wskazałam Eugeniuszowi kłęb różnokolorowych kabelków wystających z wnętrza kuli.

– Takie bardziej... brązowe? – zamyślił się wróż.

– Brązowe? Nie widzi pan kolorów? – zdziwił się Władek i jego wzrok padł na zieloną lamperię. – A ściany jakiego są koloru?

– Takie bardziej jakby szare... – zaryzykował Eugeniusz.

– A wykładzina? – Władkowi zaświeciły się oczy. Wykładzina w pokoju była niebieska i zastanawiałam się, kto połączył te dwie barwy, ale nie nasuwała się żadna logiczna odpowiedź. Być może był to daltonista.

– Bura. – Eugeniusz wzruszył ramionami.

– A obraz? Jakie ma kolory? – Władek podbiegł do reprodukcji Chełmońskiego na ścianie. Z dużą ilością błękitnego nieba oraz żółtego żyta.

– Też bury. Tylko u góry bardziej, a na dole trochę mniej – odparł wróż. – Swoją drogą dziwne, że ludzie kupują takie bure obrazy.

– Władek, dosyć już, zapamiętaliśmy. Pan Eugeniusz jest daltonistą i nie odróżnia kolorów – jęknął Konieczny.

– I to od dziecka. – Mężczyzna pokiwał głową.

– Więc nie mógł podłączyć kabelków w kuli, żeby zabić Eufemię – zwróciłam uwagę aspiranta na ten drobny szczegół.

– A zasłonki jaki mają kolor? – ciągnął podekscytowany Władek.

– Dosyć! – wrzasnął Konieczny. – Są brązowe.

– Powiedziałbym, że szare – upierał się Eugeniusz.

– Czerwone! – obwieścił Władek triumfalnie. – A kalendarz na ścianie?

– Pani Lucjo, ja zwariuję... – szepnął Konieczny.

Rozdział 13

Wróż Eneasza w zamian za jeszcze wyższą stawkę godzinową podłączył do prądu szklaną kulę, bo zarówno Konieczny, jak i Władek gubili się w mnogości kabelków.

Ciec stanowczo odmówił zostania wróżem Eustachym i Kowalski musiał zaakceptować imię ze starożytnym rodowodem. Pomogło stale migające światło nad drzwiami, któremu nawet wróż Eugeniusz przyglądał się z zazdrością.

– Niedobry to pomysł wpuszczać cywila do wróżenia – mrucał.

Lecz Kowalski, początkowo sceptycznie nastawiony do mojego pomysłu, stał się nagle wielkim orędownikiem Eneasza.

– Niech pani tylko zobaczy, pani Lucjo! – Wskazał nowego wróża, jakby sam go odkrył i przeskolił. – Niby taki stary, a ma gadane.

– Lucjo – sprostowałam, choć przestałam już mieć nadzieję.

Wróż Eneasza, na szybko przebrany w czarny płaszcz i takiż kapelusz, robił wrażenie. Telefon dzwonił bez przerwy, a staruszek wpatrywał się w szklaną kulę (Kowalski znalazł zapasową) i powoli wygłaszał przepowiednie prosto do kamery.

– Będą z niego ludzie – ucieszył się biznesmen. – Oby tylko jeszcze pożył...

– Pani Lucjo, niech pani coś z tym zrobi! – Konieczny otarł pot z czoła. – Władek jakby znormalniał, za to Wężyk zwariował. Wciąż powtarza, że musi wracać do domu i poczekać na żonę, bo ona zaraz wróci, poszła tylko rydzów nazbierać.

– Pani Lucjo, przecież to ja panią wynająłem! – przypomniał Kowalski.

Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce, więc odwróciłam się do Koniecznego i powiedziałam:

– Wężyk ma czekać, a ekipa niech pojedzie do jego domu i sprawdzi jeszcze raz. I mają pytać o rydze. A pan niech idzie po Eulalię. – Kiwnęłam głową na Kowalskiego.

– Ale pani Łucjo! – Załamiał ręce. – Nie możemy mieć zbyt wielu przerw wróżebnych. A ZUS-y, KRUS-y, PIT-y, CIT-y...? Same się nie popłacą.

– Nie przepadam za księgowością, ale mogę się tym zająć za dodatkową stawkę – odparłam. – Na razie wszystko działa, prawda?

– Prawda – przyznał Kowalski.

– To proszę zawołać Eulalię – poleciłam – do pokoju Eufemii.

Kowalski zwiesił głowę i poczłapał korytarzem. Po chwili wrócił i bez słowa wskazał wróżce krzesło naprzeciwko kuli.

– Ja jej to wszystko przepowiedziałam – zaznaczyła na wstępie Eulalia. – Ale z kart, nie z żadnej kuli. Niepotrzebnie pan to tutaj przyniósł. – Wskazała szklany przedmiot, w którym szalały fioletowe błyskawice.

– To na potrzeby śledztwa. Proszę nie zwracać uwagi – pouczył ją Konieczny.

– Widziała pani w kartach sprawcę? – wyrwał się Władek.

– Widziałam, że spotka miłego mężczyznę – westchnęła Eulalia. – I rzeczywiście, spotkała takiego Tadeusza, bardzo porządny człowiek. Nawet ma działkę i uprawia pomidory.

– Miała wrogów? – indagował Konieczny.

– Była wróżką – powiedziała Eulalia.

– I?

– Ja na przykład dzisiaj narobiłam sobie trzech nowych wrogów – wygadała się Eulalia. – Zadzwoiła taka pani Janina, której przepowiedziałam, że spotka mężczyznę, i zaczęła krzyczeć, że mnie zniszczy.

– Bo nie spotkała? – zapytał Konieczny.

– Wręcz przeciwnie, tylko miała nadzieję, że ten mężczyzna będzie kulturalny, opiekuńczy i zaradny – powiedziała Eulalia. – Tymczasem niejaki Mariusz okazał się pijący i cały czas siedzi

przed telewizorem, więc Janina ma pretensje do mnie. A przecież ja nie jestem odpowiedzialna za to, jacy są polscy mężczyźni, i za to, że cały czas siedzą przed telewizorem i piją piwo.

– Ale człowiek musi czasem po pracy usiąść przed telewizorem i wypić piwo – wyrwał się znowu Władek.

– Pewnie, niech posiedzi. Ale kwadrans, no, może pół godziny. – Eulalia wzruszyła ramionami.

– Pół godziny? – Na twarzy podkomendnego pojawiło się przeżenie. – A jak są mecze?

– Dziewięćdziesiąt minut raz na miesiąc to nie problem.

– Na kanale sportowym lecą jeden po drugim – przypomniał sobie Władek. – Przecież nie zostawię tak meczu w połowie. I wiadomo, że do oglądania trzeba jakieś piwo.

– Więc jednak pijesz! – nasrożył się Konieczny.

– Skądże znowu – usprawiedliwiał się podwładny. – Melduję, że mówię tylko teoretycznie!

– A ta Janina groziła? – zainteresował się aspirant.

– Wszyscy grożą. A właściwie wszystkie, bo to jednak głównie kobiety. Najpierw dzwonią po wróżbę i jak nie widzę żadnego mężczyzny w kartach, to robią się złe i grożą. Bo tyle pieniędzy u nas przepuściły, a mężczyzny nie ma – wyjaśniła Eulalia. – Ale jak jest, to zwykle zasiada przed telewizorem i to też się klientkom nie podoba. Wtedy dzwonią, że sobie takiego mężczyzny nie życzą. A przecież ja nie produkuję facetów, tylko widzę albo nie, czy się pojawiają.

– No tak – mruknął Konieczny. – A co do tych gróźb pod adresem Eufemii...

– Nie było dnia, żeby nie grozili. Nawet się śmiałyśmy, że jej to najbardziej, bo ona w tej kuli widziała najszybciej i najjaśniej. Ja w tarocie dostrzegam tylko, czy pojawi się mężczyzna, a ona w kuli mogła zobaczyć na przykład, że będzie wysokim blondynem. A potem jak nie był, to klientki groziły. Padały słowa: „Nogi z dupy powyrywam” i tym podobne.

– Czy pani Eufemia wspominała o jakichś charakterystycznych typach? – zaciekawiał się Władek.

– Głównie, niestety, widziała niskich, z nadwagą i łysiejących – wyjaśniła Eulalia. – Ale klientki się denerwowały, jak mówiła takie rzeczy, więc przestała podawać szczegóły.

– Mężczyźni też do państwa dzwonią? – dopytywał się Konieczny.

– Tak, ale oni zazwyczaj chcą wiedzieć, czy im wyjdzie interes albo kiedy kupią nowe auto – westchnęła Eulalia. – A w tarocie bardzo trudno dostrzec, ile koni będzie miał samochód albo czy nie jest kradziony. Panowie bardzo często chcą też wiedzieć, czy nie było naprawiane i czy warstwa lakieru jest równa.

– Ja miałem taką historię, że kupiłem auto, a było uderzone i lakier był nierówno położony. – Władek pokiwał smutno głową. – Więc żona miała do mnie rozliczne pretensje, że nie sprawdziłem. To da się metodą tarotową wykryć?

– Miernikiem lakieru na pewno – podsunęłam.

– To kosztuje – zasepił się Władek.

– Karty nie udzielają jednoznacznej odpowiedzi na pytania o grubość powłoki lakierniczej – wyjaśniła Eulalia.

– Wiedziałem, że nie są wiarygodne. – Podkomendny zasepił się jeszcze bardziej.

– Wróćmy do sprawy – zarządził Konieczny. – A czy Eufemia miała wrogów tu, na miejscu?

– Ten cały Eugeniusz to wyjątkowo podejrzana postać. – Eulalia zniżyła głos. – Eufemia zobaczyła w szklanej kuli, jak on coś majstruje przy przewodach elektrycznych. Powiedziała mu to, a on strasznie się zdenerwował i rzucił na nią klątwę.

Nagle otwały się drzwi i do środka wpadł Eugeniusz. Spojrzał dzikim wzrokiem na Eulalię.

– Nic nie majstrowałem przy żadnych przewodach! – krzyknął. – To ona, Eufemia, opowiadała same kłamstwa. Każdy wie, że szklana kula to dziecinada. Liczą się prawdziwe wizje!

– I dlatego przepowiedział mi pan, że mam się zbliżyć do matki i się pojednamy?! – wykrzyknęła Eulalia. – Pojechałam do niej aż do Hrubieszowa, a ona do mnie: „A ty po co tu przyjechałaś? Ale jak już jesteś, to napij się herbaty, tylko szybko, bo za dziesięć minut wychodzę”. To ma być pojednanie?

– Skąd miałem wiedzieć? – Eugeniusz popatrzył na nią z politowaniem. – Zobaczyłem picie herbaty. Przecież nie pije się herbaty z kimś, kogo się nie lubi.

– Nawet cukru nie podała, a herbata najtańsza – zirytowała się Eulalia.

– To nie moja wina. – Wróż rozłożył ręce. – Za to Eufemia zobaczyła w tej swojej szklanej kuli, że moja była żona zgadza się na obniżenie alimentów. A na sali sądowej zażądała, żebym płacił więcej.

– To trzeba było mieć wizję i samemu zobaczyć – odcięła się Eulalia. – Ja widziałam, że będą kłopoty.

– Ale nie z alimentami, tylko z nową kobietą – zirytował się Eugeniusz.

– Może pana była żona się zmieniła. – Wróżka wzruszyła ramionami. – Technicznie rzecz biorąc, byłaby wtedy nową kobietą.

– Niech cię pochłonie twój własny obłęd! – fuknął Eugeniusz.

– A ty utop się w kawie Euzebiusza! – krzyknęła Eulalia.

– Pan wychodzi, pani zostaje – zarządziłam, bo Konieczny nie był w stanie wypowiedzieć słowa, tylko toczył po obrzucających się klątwami błędnym wzrokiem.

Kiedy Eugeniusz trzasnął za sobą drzwiami, aspirant drgnął, westchnął i zapytał:

– Czy ktoś jeszcze groził Eufemii?

– Wszyscy, bo wciąż widziała w kuli jakieś złe rzeczy – przyznała Eulalia. – A ten Eugeniusz przepowiedział jej ogień, no i proszę. Zginęła przez elektryczność.

Konieczny nagle wyprostował plecy, jakby zaświtał mu jakiś pomysł.

– Pani Eulalio – zaczął. – A gdyby miała pani wróżyć ze szklanej kuli...

– Ja takich rzeczy nie robię. – Eulalia wyduła wargi. – Tylko tarot mówi prawdę.

– Ale hipotetycznie. – Aspirant zniżył głos. – Jak by się pani do tego zabrała?

– Phi, to proste. Kładzie się na kuli obie ręce...

– Proszę zademonstrować.

Eulalia popatrzyła na niego lekko zdziwiona, a potem wyciągnęła ręce przed siebie. Zdażyłam odepchnąć ją od kuli, ale zdecydowały milimetry.

– Co pani wyprawia!?! – oburzyła się wróżka.

– Bardzo pan ryzykuje, panie aspirancie – zwróciłam uwagę Koniecznemu.

– Wcale, pani Lucjo. Byłem pewny, że w pani obecności pani Euzebie nic się nie stanie...

– Eulalii – poprawiłam.

– Dokładnie tak. Bo pani, jeśli mogę się tak wyrazić, zawsze czuwa.

Odebrałam to jako komplement. Zasłużony.

– W ten sposób, pani Lucjo, wykluczyłem kolejną podejrzaną. Gdyby pani Eugenia...

– Eulalia.

– Właśnie. Więc gdyby wiedziała, że kula zabija, nie położyłaby tak chętnie na niej ręk. A gdyby była morderczynią, to miałaby tego świadomość.

Spojrzałam na Eulalię, oczekując okrzyków oburzenia albo nawet gróźb, że wystosuje skargę do odpowiednich organów. Wróżka jednak intensywnie wpatrywała się w karty, które w międzyczasie rozłożyła.

– Musi pan strzec się wysokiego, władczego mężczyzny z wąsem – powiedziała nagle.

– Jezus Maria, inspektor Wąski tutaj jedzie? – przeraził się Konieczny.

– On myśli o panu.

– Ale dobrze czy źle? – Aspirant popatrzył na nią błagalnie.

– Dobrze, ale jest bardzo niecierpliwy. – Eulalia wyciągnęła karty i rozrzuciła na stole. – Wieża. Sytuacja jest dynamiczna i wkrótce się zmieni. A następna karta to Koło Fortuny. Bardzo łatwo tu o zmianę sytuacji. Ci, którzy są wywyższeni, opadną, a niedocenieni znajdą się na górze.

– A ja jaki jestem? – zainteresował się Konieczny.

– Pan jest kartą Rycerz Buław. Honorowy, ale nie dostrzega niebezpieczeństwa, które się czai.

– A ja też jestem jakąś kartą? – zapytał Władek.

– Nie jesteś żadną kartą – zgasił go szef.

– Widzę pana jako Giermka Pucharów – mruknęła Eulalia.

– To przyjemne – napuszył się podkomendny.

– Mówiłeś, że nie pijesz – zirytował się Konieczny.

– Pewnie że nie, ale miło być Giermkim Pucharów – cieszył się Władek. – Czy ten Giermek awansuje?

– Na razie musi przejść ciężką próbę. – Eulalia się zamyśliła. – Widzę w kartach jakąś rzecz, którą musi się zająć.

– Śledztwo – parsknął Konieczny.

– Tak, to zwłoki – potwierdziła wróżka z powagą. – Jest pan z nimi związany.

– Matko Boska! – przeraził się Władek.

– Nie widzę dokładnie, ale bardzo panu zależy, żeby one należały do pana.

– E, to jakieś głupoty – mruknął Konieczny. – Wiele można powiedzieć o Władku, ale seryjnym mordercą, i do tego fetyszystą, raczej nie jest.

– Długo krążył pan wokół nich. Chciał pan za ich pomocą zjednać sobie ważną dla pana kobietę.

– Niech pani mówi dalej – poprosił Władek.

– Widzę imprezę rodzinną i Giermka Pucharów weselącego się na uczenie.

– A więc jednak! – Policjant z radości uderzył pięścią w stół. – Czy te zwłoki nie rozłożą się do tego czasu?

– Pani Lucjo, on jednak oszalał – szepnął mi do ucha Konieczny. – Może powinien obejrzeć go lekarz?

– Po okresie trudności wychodzi karta Słońce – ciągnęła Eulalia.

– Wiedziałem – zmartwił się Władek. – Za późno przestawiłem samochód.

– Karta Słońce to szczęście i spełnienie marzeń – wyjaśniła wróżka. – Uda się panu zrealizować swoje zamiary. Pomoże w tym karta Mag.

– Czyli zwłoki się nie rozłożą – ucieszył się policjant.

– Wszystko jest na dobrej drodze – uspokoiła go Eulalia. – Ale karta Mieczy pokazuje, że musi pan działać szybko. Czas jest ważny. Inaczej pojawi się Cesarz, mężczyzna z wąsem, i zniweczy te plany.

– Tak. Jezus Maria. Zwłoki. Szybko. – Władek pokiwał głową.

– Pani Lucjo, on naprawdę zwariował.

Rozdział 14

Trzeba przyznać, że Konieczny szybko doszedł do siebie. Wystarczyło, że zszedł na dół (co mu doradziłam) i przespacerował się wokół samochodu. Odzyskał nie tylko siły, ale i optymizm. Teraz siedział przede mną na schodkach i wyglądał na mniej więcej zadowolonego z życia.

– Musi się pani nauczyć, w jaki sposób radzić sobie ze stresami, pani Lucjo. Z całą pewnością napotyka pani jakieś w swojej pracy. Co prawda pomoc w kłopotach domowych nie jest tak ekscytująca jak praca w policji, gdzie co rusz natykamy się na przestępstwa, morderców i zwłoki, ale niewątpliwie zdarzają się pani problemy, a wtedy dobrze zastosować metodę inspektora Wąskiego.

– Z niewyjaśnionego powodu zwłoki i mnie trafiają się dość często – przypomniałam mu.

– No tak. – Zmarszczył brwi. – Niemniej jednak, gdyby znalazła się pani w sytuacji bez wyjścia, należy zrobić to, co czyni inspektor Wąski.

– To znaczy? – dociekałam.

– Dzieje się to niezmiernie rzadko – podkreślił Konieczny. – Inspektor mawia, że tylko wybitny umysł potrafi przyznać, iż znalazł się w ślepej uliczce.

– Oczywiście – zgodziłam się.

– Pewnego razu, w wyniku pracy operacyjnej, inspektor Wąski znalazł się w magazynie na obrzeżach miasta. Było tam dwudziestu bardzo groźnych dilerów narkotykowych, każdy uzbrojony po zęby. Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. Wsparcie miało nadejść dopiero za godzinę. I cóż zrobił inspektor Wąski?

– Zapewne ich wsadził – wysunęłam przypuszczenie.

– Tak. Skąd pani wiedziała? – zdziwił się Konieczny.

– Strzelałam.

– Inspektor Wąski też strzelał – ucieszył się aspirant. – Miał tylko kilka pocisków, ale wystrzelił wszystkie w powietrze i zło-
czyńcy uwierzyli, że nie tylko ma ich więcej, ale że w pobliżu mu-
szą być spore posiłki, bo któż pozbyłby się pocisków, gdyby nie
miał wsparcia. Aby jednak tego dokonać, inspektor Wąski wymy-
ślił niezwykłą metodę. Otóż w chwilach wielkiego napięcia siada
na podłodze i powtarza „Ommm, ommm, ommm”.

– I to go wycisza?

– Tego właśnie słowa użył. – Konieczny pokiwał głową. – Opo-
wiadał na kursie, że kiedyś długo siedział pod drzewem i wtedy
spłynęło na niego oświecenie. Oczywiście potrzeba całych lat prak-
tyki, ale to przynosi rezultaty. Gdyby inspektor Wąski był tu te-
raz, w ogóle by się nie przejął, że te wróżki mają tak podobne
imiona. Albo że ten cały Eugeniusz jest daltonistą i nie mógł po-
plątać kabelek, żeby zabić Eulalię.

– Ona żyje. Ktoś zabił Eufemię – sprostowałam.

– Sama pani widzi! – jęknął Konieczny. – Kto im wymyślił te
imiona?

– Zapewne Kowalski.

– No tak. A pani kto dał tak na imię?

– Rodzice – wyjaśniłam.

– Gdyby pani wyjawiała pochodzenie swojego imienia, to pozwo-
liłoby mi uspokoić myśli – westchnął – Więc jak było z tą Lukre-
cją?

Pomyślałam chwilę i uznałam, że zrobię to dla niego. W końcu
to nawet zabawna historia. Ojciec, wielki miłośnik włoskiego re-
nesansu, marzący o synu, którego nazwałby Michał Anioł lub Le-
onardo. Urodziła się jednak córka...

– Ojcu imponowała Lukrecja Borgia. – Skróciłam dramat ojca
do jednego zdania.

– A matka nie protestowała? – zapytał Konieczny.

– Matka uwielbia słodczyce. Lukrecja kojarzyła jej się tylko
z cukierkami. Odkryła Lukrecję Borgię dopiero, jak byłam

w przedszkolu, i zrobiła ojcu awanturę. Zdaje się o te otrucia. Jednak mogło być gorzej. Matka chciała, żebym miała na imię Malina albo Jagoda.

Wzdrygnęłam się na samą myśl.

– Malina Słotka albo Jagoda Słotka – zarechotał Władek, który nagle zmaterializował się obok nas. – To by dopiero było śmieszne. To jest melduję, że przepraszam. Ale naprawdę byłby ubaw. A pani Malina to Słotka? Ha, ha, ha. Albo: pani Jagoda dziś słodka czy kwaśna? Ale Lukrecja też jest niczego sobie.

– Pana nazwisko również. – Uśmiechnęłam się.

– Moje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy – nastroszył się Władek. – Wolę go nie zdradzać z powodów operacyjnych.

– Jest w bazie zasobów osobowych.

– Ma pani do niej dostęp? – Konieczny wybałuszył oczy.

– Pomińmy to milczeniem – zaproponowałam. – Niemniej figuruje tam niejaki Władysław Kant.

– Cicho! – syknął Władek. – Bo się rozniesie.

– Nazwisko?

– Przecież dla policjanta takie nazwisko to osobista tragedia! – jęknął Władek. – Wie pani, ile kłopotów przez nie miałem? Wchodzę na interwencję, przedstawiam się „posterunkowy Kant”, a wszyscy w śmiech. Że niby w policji to same kanty odchodzą. Albo mówią mi, żebym tylko nie kantował. A jak zatrzymuję kierowcę, to on od razu wypala: „Pan Kant, he, he, no to na pewno się dogadamy z tym mandatem”.

Władek klapnął na schodek i ukrył twarz w dłoniach.

– I muszę z tym żyć. A to nieładnie naśmiewać się z czyjegoś imienia i nazwiska.

– Bardzo brzydko – potwierdziłam. – Na szczęście to piękne nazwisko nosił także słynny filozof.

– Naprawdę? – Władek cały się rozpromienił. – Nazywał się Kant?

– Dokładnie tak. Mawiał: „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”.

– Mam tak samo – ucieszył się podkomendny. – Też często stoję przy drodze wieczorem, żeby łapać pijanych kierowców, i widzę nad sobą gwiazdy, a kiedy już zatrzymuję prowadzącego pojazd w stanie nietrzeźwym, to mówię mu, że prawo nakazuje przyznanie mu mandatu. I punktów. Od dzisiaj będę mówił, że nawet słynny filozof Kant tak twierdził. I że zatrzymany ma przyjąć mandat, choć się nie zgadza i nic nie pił, a w szczególności napoju alkoholowego.

– Myślę, że ten argument go przekona – potwierdziłam.

– Pani Lucjo... – zaczął powoli Konieczny. – W tej bazie, do której pani nie ma dostępu, ale gdyby pani miała, to znalazłaby pani też moje imię?

– Hipotetycznie.

– O mój Boże! – Aspirant zwiesił smętnie głowę. – Nie może być gorzej.

– Ależ zawsze może – pocieszyłam go. – Na przykład mógłby pan mieć na imię Fulbert, gdyby pana ojciec gustował w muzyce średniowiecznej. Bo to on wymyślił panu imiona, prawda?

– Był wielkim miłośnikiem baroku. Niestety nie poprzestał na słuchaniu muzyki z epoki, ale poszedł dalej i postanowił zarazić dzieci pasją, nadając im imiona kompozytorów. – Konieczny zrobił kwaśną minę. – Nie wyobraża sobie pani nawet, co ja przeżyłem w podstawówce.

– Moja wyobraźnia nie zna granic.

– Nie mówiąc o drużynie piłkarskiej. Grałem na skrzydle. A koledzy wołali do mnie: „Podaj, dawaj długą, wchodź ślizgiem, uważaj, plecy”. Wie pani, jak to brzmiało?

– Wiem – okazałam mu empatię. – „Wolfgang Amadeusz, dawaj długą, Wolfgang Amadeusz, wchodź ślizgiem, Wolfgang Amadeusz, uważaj, plecy”. Współczuję.

Rozdział 15

Wolfgang Amadeusz Konieczny leżał na trawie pod lipą, a Władysław Kant przechadzał się nieopodal. Obaj wyglądali na zmęczonych, ale aspirant, kiedy mnie zobaczył, zdobył się jednak na słaby uśmiech i podźwignął z trawy.

– Plecy – wyjaśnił. – Choroba zawodowa.

– Znam świetną masażystkę – podpowiedziałam.

– To może ja też bym skorzystał? – wtrącił Władek z nadzieją w głosie.

– Przecież plecy cię nie bolą. – Konieczny zgromił go wzrokiem.

– Ostatnio coś strzyka.

– Eudokia już czeka. – Z budynku wyłonił się Kowalski i nerwowo zatarł ręce. – Pani Łucjo, czy byłaby pani taka uprzejma i odkryła wreszcie, kto dopuścił się tego haniebnego czynu? Przecież tak nie można prowadzić biznesu! Wciąż węższy tu policja, przeszkadzają, jak tu wróżyć w takich okolicznościach? A ja tu muszę te ZUS-y, KRUS-y, PIT-y i CIT-y...

– Może zauważył pan, że to ja prowadzę śledztwo – przypomniał mu zimno Konieczny.

– Oczywiście, panie aspirancie. Tylko pani Łucja pobiera ode mnie wynagrodzenie, więc pomyślałem, że mogłaby szybciej... – westchnął Kowalski. – No w każdym razie Eudokia chętnie pomoże, ona jest umysłem ścisłym, ale i uzdolniona manualnie. Wspinała rzeczy robiła z uczniami na zetpetach, jak jeszcze pracowała w szkole.

– Na czym? – Konieczny nie zrozumiał.

– Zajęcia praktyczno-techniczne – wyjaśniłam. – Nie zna pan?

– W mojej szkole występowały okresowe braki kadrowe – przyznał aspirant. – Nauczycielki angielskiego brakowało przez cztery lata. W takim razie te zetpety też mnie ominęły. Co tam się robi?

– Ja zbudowałem lampę – rozmarzył się Władek. – Dla mamusi na urodziny. Najpierw zrobiliśmy abażur z materiału, wybrałem różowy, bo mamusia lubiła ten kolor. A potem trzon lampy z drewna toczonego. Na końcu tylko włożyć przewody i gotowe. No i wtedy prąd mnie kopnął, bo źle zaizolowałem, a lampa zaczęła się palić. Więc z tego wszystkiego dałem mamusi sam abażur.

– Człowieku, czemu mi tego wcześniej nie powiedziałeś?! – ryknął Konieczny, potrząsając kolegę za ramiona.

– Melduję, że nie wiedziałem, że pana aspiranta interesują takie rzeczy – wyjąkał zdumiony Władek. – No to mówię teraz. Mamusia i tak mi bardzo dziękowała, powiedziała, że ten abażur jest przepiękny. Mimo że też się trochę osmalił.

– Nie mów mi tu o abażurze, tylko o elektryce! – huknął Konieczny.

– No mówię przecież. – Władek spojrzał na szefa zdziwiony. – Prąd mnie kopnął, aż padłem na ziemię, i nasza wychowawczyni, pani Pilecka, pobiegła po pielęgniarkę, panią Rachoń...

– Przestań mi tu gadać o pielęgniarce!

– Melduję posłusznie, że w takim razie nie wiem, o czym mam mówić – wyjąkał Władek.

– Dlaczego nie wspomniałeś, że na tych zetpetach robi się elektrykę? – wykrzyknął Konieczny.

– A chciałby pan zrobić lampę? – zdziwił się Władek. – To ja mogę nauczyć. Już skojarzyłem, co było nie tak.

– Ja się zabiję, pani Lucjo! – rozpaczał Konieczny. – Ale najpierw jego.

Otarł pot z czoła.

– Czy pani rozumie, co ja mam na myśli? – spytał słabo.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Ja zawsze rozumiem. Miał pan na myśli fakt, że skoro pani Eudokia prowadziła zajęcia praktyczno-techniczne, musi wiedzieć, jak się robi lampy i podłącza kabelki. A skoro szukamy właśnie takiej osoby, to być może pasowałaby do profilu mordercy.

– Trzeba ją zamknąć – stwierdził Władek, kiedy wreszcie trybiki w mózgu zaczęły mu pracować.

– Raczej przesłuchać – warknął Konieczny. – Inspektor Wąski mawia, że przesłuchanie podejrzanego jest jak wabienie tygrysa do klatki. Trzeba wziąć pół świniaka i użyć jako przynęty...

– Słucham? – Władek zbladł jak śmierć.

– Tygrys jest żarłoczny. Nie skusisz go kotлетem. Musisz dać mu świniaka, albo przynajmniej pół – wyłożył cierpliwie Konieczny.

– Po co oddawać dobrego świniaka? – zaperzył się podkomendny. – Można go przerobić na kiełbasy, zapeklować...

– Jeśli chcesz złowić tygrysa, nie masz innego wyjścia – wyjaśnił aspirant.

– Nie oddam świniaka tej Eudokii! – Władek cały spurpurowiał i wbiegł do budynku.

Konieczny spojrział na mnie wymownie i pokręcił głową.

– On zwariował, pani Lucjo – stwierdził spokojnie. Zbyt spokojnie. – Może powinienem to zgłosić? Wśród policjantów często zdarzają się depresje, zaburzenia osobowości...

– Sądzę, że wszystko będzie dobrze – pocieszyłam go. – Myślę, że po prostu ma emocjonalny stosunek do świniaka.

Aspirant pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Inspektor Wąski zawsze mawiał: „Wniknij w podświadomość podejrzanego, a wyjawi ci wszystko, o czym sam nie wie, że wie” – powiedział. – Zademonstruję pani, jak to się robi.

Wyjrzał na korytarz i zaprosił Eudokię do środka.

– Pani Eudokio, znała pani nieodżałowaną Eufemię... – zaczął.

Wróżka skinęła głową i wyjęła chusteczkę.

– Stawiałam jej nawet horoskopy numerologiczne. Ona była trójką. Wiadomo, że trójki są kłótniwe i potrafią się o wszystko sprzeczać.

– A więc Eufemia miała wrogów – wywnioskował Konieczny. – Któż z nas ich nie ma.

– W ostatnim horoskopie wyraźnie zobaczyłam rachunki, PIT-y, paragony. – Eudokii zaszkliły się oczy. – Ostrzegałam ją, żeby uważała na pieniądze, bo mogą stać się niebezpieczne. Ale ona się tylko śmiała, że ich nigdy dosyć. I powiedziała mi, że z numerów nic się nie wyczyta, a już na pewno nie przyszłość.

– I wtedy się panie pokłóciły? – podsunął aspirant współczująco.

– A jakby ktoś panu zarzucił, że pana metody do niczego nie prowadzą, to by się pan nie zirytował? Jakby pan wiedział, że ktoś jest przestępcą, a kto inny machnął na to ręką i powiedział, że to wszystko nieprawda?

– Byłaby to wielce niefortunna koincydencja – zgodził się Konieczny. – Zwłaszcza że jest pani przecież wszechstronnie wykształcona. Nie tylko uczyła pani matematyki, ale również tych... no... zetpetów.

– Tak, prowadziłam zajęcia praktyczno-techniczne. – Eudokia wyglądała na lekko zdezorientowaną.

– Dzieci były pewnie zachwycone, budując lampy, radia, telewizory... – rozmarzył się aspirant.

– Robiliśmy wszystko z krepiny – sprostowała wróżka.

– ...albo układy scalone i alarmy, łącząc przewody – kontynuował Konieczny.

– Z krepiny, mówię – zaprzeczyła Eudokia. – Wie pan, ile rzeczy można wykonać z krepiny? Na przykład obrazki. Mam tu w telefonie jeszcze całą galerię zdjęć, pokażę panu. O, tutaj jest *Bitwa pod Grunwaldem*. Cała z krepiny. A niech pan zwróci uwagę na księcia Witolda, jaki podobny. – Podetknęła Koniecznemu komórkę pod nos. – Cały rok robiliśmy tę bitwę. Dzieci bardzo się zaangażowały.

– No tak – przyznał policjant i spróbował nakierować rozmowę na właściwy tor: – Ale po tej bitwie pewnie był czas na przewodniki, elektryczność...

– ...więcej rzeczy z krepiny – weszła mu w słowo Eudokia. – Robiliśmy stroje. Tutaj mam całą galerię. Proszę zobaczyć. Strój szlachcica i szlachcianki. Całe z bibuły.

– Przydałoby się jakoś je oświetlić. Na przykład lampą – zwrócił uwagę Konieczny.

– Tak, ale elektryki nie tykam. Za to o krepinie mogę rozmawiać godzinami. Zresztą mam taki mały sklepik internetowy, żeby sobie dorobić, i tam ją sprzedaję. Wie pan, ile mam rodzajów?

– Nie mam pojęcia – skrzywił się aspirant. – Wracając jednak do tych lamp...

– Sto sześćdziesiąt sześć – oznajmiła triumfalnie Eudokia. – Mam je wszystkie w telefonie, mogę pokazać. Jeśli ma pan dzieci, będą przeszczęśliwe. Ale dorośli również odnajdują radość i spełnienie, konstruuując obrazy z krepiny. Takie hobby uspokaja. Może przydałoby się pana koledze, on jest taki nerwowy.

– Wspomnę mu – obiecał Konieczny. – Krótko mówiąc: nie zna się pani na elektryczności i gdyby zobaczyła pani lampę z urwanym kabelkiem, to nie wiedziałaby pani, co począć?

– W życiu! – przeraziła się Eudokia. – Zawsze wzywam szwagra, jak trzeba coś naprawić.

– A do takiej kuli też by go pani wezwała? – zapytał podstępnie policjant, wskazując najeżony błyskawicami szklany przedmiot.

– Oczywiście. On jest taki magik, ten mój szwagier, że czego się nie dotknie, to od razu działa – ucieszyła się Eudokia. – Złapałby tę kulę i... – Wyciągnęła dłonie w stronę cudu chińskiej techniki.

Odepchnęłam ją na bok naprawdę w ostatniej chwili.

– Wypraszam sobie! – obruszyła się wróżka.

– Ta kula kopie – wyjaśniłam. – Prądem. Na śmierć.

– Och! – Eudokia zbladła i zaczęły drżeć jej dłonie. – Już wszystko rozumiem. O Boże! To dlatego, kiedy stawiałam sobie horoskop, wyszło mi, że ósemki, takie jak ja, nie powinny pchać rąk tam, gdzie nie trzeba. Nie przyszło mi do głowy, że chodzi o kulę i elektryczność. Myślałam, że to problemy z córką i mam

jej nie pytać, dlaczego wraca o jedenastej w nocy do domu. Przecież mogłam zginąć! – Spojrzała z wyrzutem na Koniecznego.

– Skądże – zapewnił ją solennie. – Wiedziałem, że pani Lucja zdąży panią powstrzymać.

– Mogła się zagapić. – Eudokia zmarszczyła brwi.

– Nigdy się nie zagapiam – oświadczyłam.

Wróżka nie wyglądała na przekonaną, co przypisałam nieznajomości moich metod pracy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wpadł Władek, objuczony olbrzymim pakunkiem zawiniętym w folię i papier.

– A niech stracę! – wystękał, uginając się pod ciężarem. – Proszę bardzo. – Zbliżył się do Eudokii i spróbował wręczyć jej pakunek.

– Co to jest, na miłość boską?! – przeraziła się wróżka. – I czemu tak dziwnie pachnie?

– Pół świniaka. Dla pani – wycharczał Władek. – Pan aspirant kazał tym zwabić tygrysa. Czyli panią.

– Dokąd? – przeraziła się kobieta.

– Pani Lucjo – jęknął Konieczny, opadając na krzesło. – Ja oszaleję. Czy zostało jeszcze trochę tej whisky?

Rozdział 16

Wielkie umysły chodzą swoimi ścieżkami, a umysły wątle poruszają się wyłącznie dobrze znanymi drogami. Wielkie umysły potrafią się cofnąć, a nawet pójść w przeciwną stronę. Umiejętność ta nie jest dana małym umysłom, które z uporem idą w jednym kierunku.

Jeśli podejrzewacie, że słowa te padły z ust inspektora Wąskiego, to macie rację. Jeśli przypuszczacie, że Wolfgang Amadeusz Konieczny wypowiedział je z naciskiem i przypomniał mi, że bym je zapisała, nie mylicie się. Moglibyście pracować w „Magii Kowalski”.

– Jednym słowem, pani Lucjo, postanowiłem zmienić kierunek ataku, a także sposób jego przeprowadzenia – perorował Konieczny, chodząc po pokoju z założonymi za plecami rękoma. – Inspektor Wąski zawsze twierdził, że gdyby Napoleon nie modyfikował swoich planów, skończyłby co najwyżej jako marny kapitan, a nie tam, gdzie rzeczywiście wylądował.

– Czyli na wyspie Świętej Heleny, uwięziony przez Anglików – przypomniałam.

– Inspektor Wąski miał na myśli fakt zostania cesarzem – uściślił Konieczny. – Potem jednak Napoleon przestał zmieniać plany i proszę. Dlatego też do przesłuchania tej wróżki od linii papilarnych...

– Eurydyki – podpowiedziałam.

– Właśnie – westchnął. – Muszę sobie gdzieś zapisać te imiona.

– Proszę bardzo. – Podsunęłam mu kartkę. – Plus informacje, kto z czego wróży.

– Jest pani nieoceniona! – ucieszył się, chwytając spis.

– Zwykle daje się to policzyć, choć rachunek jest wysoki – zgodziłam się.

Konieczny udał, że nie dosłyszał.

– Pani Lucjo, zaprezentuję teraz pani metodę polegającą na analizie mowy ciała – wyjaśnił. – Inspektor Wąski zawsze twierdzi, że przekazuje ona więcej niż milion słów. Na przykład taka sprawa dusiciela z Konina. Przez wiele miesięcy nie było absolutnie żadnego postępu w śledztwie. Do chwili, kiedy inspektor Wąski postanowił zacząć obserwować mowę ciała podejrzanych. W ogóle nie zamierzał z nimi rozmawiać, tylko ich oglądać. Wyobraża sobie pani?

Skinęłam głową. Nie przerastało to mojej wyobraźni.

– Najpierw przyglądał się urzędnikowi pocztowemu i uznał, że jego mowa ciała jest standardowa. Potem obserwował pewnego skoczka wzwyż. Ten miał sprężyste ruchy, ale jako skoczek został skreślony, bo oni zwykle tak się poruszają. I wreszcie obserwował piekarza. Mowa ciała tego człowieka wydała mu się, to jest inspektorowi Wąskiemu, fałszywa. Ten piekarz w ogóle nie poruszał się, nie stał, nie chodził ani nie siedział jak piekarz.

– A jak kto? – zainteresowałam się.

– Jak osoba, która jest piekarzem, ale nie chce, żeby ludzie, którzy ją obserwują, zobaczyli, że nim jest – wyjaśnił Konieczny.

Ale nie zdołał dodać nic więcej, bo do pokoju wpadł jak burza Kowalski.

– Pani Łucjo kochana, czy Eurydyka musi akurat teraz rozmawiać z panami policjantami? Bo dzisiaj dzwoni mnóstwo amatorów wróżenia z ręki. Euzebiusz sobie nie poradzi, a jak będzie kłapa, to oni wszyscy, ci dzwoniący, pójdą do konkurencji. A ZUS-y, KRUS-y, PIT-y, CIT-y i tak dalej będę musiał płacić! – Załamał rękę.

– Zdaje pan sobie sprawę, że popełniono morderstwo – upomniał go surowo Konieczny. – Sugeruje pan, że ZUS-y są ważniejsze?

– Ależ skąd, tylko jeśli można to szybko załatwić... – sumitował się Kowalski.

– Będzie błyskawicznie – obiecał aspirant. – Widzę to tak: Władek zacznie przesłuchiwać podejrzaną wróżkę za lustrem weneckim, a ja będę obserwował jej mowę ciała. W momencie, kiedy dostrzegę coś osobliwego, dokonam wejścia i wypytam Eufemię o wszystko.

– Eurydykę – poprawiłam.

– To miałem na myśli. Jeśli nic nie dostrzegę, wróci do wróżenia.

– Panie aspirancie, melduję, że nie posiadamy na stanie lustra weneckiego. – Władek się wyprężył.

– Ależ posiadamy – ucieszył się Kowalski. – Jest pomieszczenie z takim lustrem, którego używaliśmy w poprzedniej firmie. Teraz akurat stoi puste. Mogą panowie skorzystać.

– Do czego było używane? – zainteresował się Władek.

– No, do obserwacji... – Biznesmen się zaczerwienił.

– Urządzał pan tu jakieś pokazy erotyczne? – zapytał groźnym tonem Konieczny.

– Ale skądże znowu! Jakie tam erotyczne? – Kowalski otarł pot z czoła. – Dziewczyny miały przebieralnię, a taki jeden Tadek z parteru zapytał, czy mogliby przyjść z kumplami pooglądać. I że zapłacą. To zapytałem pracownic, czyby nie chciały trochę dorobić, a ja też muszę przecież zapłacić...

– Wiemy już – przerwał Konieczny. – ZUS-y. Ale KRUS-u nie, bo nie jest pan rolnikiem.

– Same ZUS-y mogą człowieka zrujnować – najeżył się Kowalski.

– Zatrudnia więc pan wróżki na umowę o dzieło, a nie umowę zlecenie? – przycisnął go aspirant.

– Nie wchodźmy w szczegóły – jęknął płaczliwie biznesmen. – To już niech ta Eurydyka nawet zostanie u państwa do wieczora, jeśli będzie taka potrzeba.

Powlókł się smętnie w stronę drzwi. Ruszyłam za nim. Konieczny i Władek deptali mi po piętach. Mój zleceniodawca dotarł do

końca korytarza, pogrzebał w kieszeni i wyjął pęk kluczy. Weszliśmy do niedużego pomieszczenia z drzwiami po lewej i prawej stronie.

– Na lewo jest pokój z lustrem, a na prawo pomieszczenie, z którego można oglądać – wyjaśnił.

– Przeniesiemy tam kulę. – Konieczny zatarł ręce.

I zniknął za drzwiami.

– Zgłosił pan gdzieś działalność gospodarczą polegającą na udostępnianiu widowisk scenicznych? – indagował Władek.

– Ależ jakie tam widowiska? – Kowalski nerwowo pocierał czoło. – Dziewczyny zmieniały stroje, żartowały, malowały się.

– Niemniej notował pan wpływy z biletów. – Władek zmarszczył brwi.

– Ależ skąd, nie było biletów, każdy dawał, ile miał.

– Nie było biletów. – Podkomendny się zasepił. – To już robi się sprawa karno-skarbowa.

– Ależ proszę pana, co pan mówi!? To by mnie zrujnowało, ja nic nie mam.

– A ten mercedes przed wejściem? – zagadnął policjant.

– To auto żony, przysięgam! – Kowalski wyglądał, jakby miał wybuchnąć płaczem.

– Słyszał pan o Kancie? – zapytał groźnym tonem Władek.

– Ja nie robię żadnych kantów – przeraził się biznesmen.

– Chodzi o Immanuela Kanta, filozofa – pomogłam Władkowi.

– Jego też nie znam, przysięgam – zarzekał się Kowalski.

– Kant mawiał: „Gwiazdy nade mną, prawo we mnie”. – Władek zmodyfikował lekko słynny cytat. – Mówi to panu coś?

– Błagam pana. ZUS-y, KRUS-y, PIT-y, CIT-y...

Błagałby dalej, ale przerwało mu wejście Koniecznego i wróża zapasowego Euzebiusza, który dźwigał kulę Eufemii, chwilowo niepodłączoną.

– Proszę przyprowadzić panią Eurydykę – polecił aspirant Kowalskiemu. – A my przygotowujemy przesłuchanie.

Kiedy za biznesmenem zamknęły się drzwi, Konieczny klepnął Władka w plecy.

– Teraz przesłuchasz tę całą... – zerknął na spis, który mu dałam – ...Eurydykę.

– Tak jest! – Władek się wyprężył.

– Zapytasz ją najpierw o coś niezobowiązującego.

– Tak jest!

– Potem przejdiesz do jej pracy w „Magii Kowalski” i stosunków z koleżankami.

– Tak jest! – Podkomendny stuknął obcasami.

– Potem do tego, jak jej się układała współpraca z Eufemią. Wtedy nagle przerwiesz i zapytasz, czy zna się na elektryce.

– Ja to sobie lepiej wszystko zapiszę – mruknął Władek, wyjmując notes służbowy z tylnej kieszeni spodni.

– A kiedy zastukam w szybę, wróżka ma dotknąć kuli – zakończył Konieczny. Potem spojrzął na mnie i powiedział: – Ponieważ jednak moje zaufanie do Władka jest ograniczone, nie podłączymy kuli do prądu. Jak mawia inspektor Wąski, lepiej być mądrym przed szkodą niż po niej. Wszystko jasne? – Ostatnie pytanie było skierowane do jego podwładnego.

– Tak jest! – wykrzyknął Władek i z kulą pod pachą otworzył drzwi po lewej stronie. Konieczny skierował się do drzwi po prawej. Ja zaś wpuściłam Eurydykę.

Wierzycie w mowę ciała? Cóż, Home Disaster Manager musi ją znać. Oczywiście nie każdy jest ekspertem, jak inspektor Wąski, ja jednak radzę sobie nieźle. Konieczny śledził spektakl rozgrywający się po drugiej stronie szyby z marsowym wyrazem twarzy.

Władek potknął się i kula niemal wyleciała mu z rąk. Eurydyka zręcznie ją złapała i chciała podłączyć do kontaktu. Mowa ciała Władka sugerowała, że nie chce do tego dopuścić. Potem współpracownik Koniecznego sięgnął do kieszeni, do której uprzednio schował notes, i wyraz zagubienia na jego twarzy jasno uwidocznił, że nie ma pojęcia, gdzie ów notatnik się znajduje. Następnie

zerknął na podłogę i twarz mu się rozjaśniła. Odkrył, że notes wypadł mu z kieszeni. Następnie schylił się, podniósł go i ponownie się naburmuszył. Z całą pewnością odkrył, że z notesu wyleciały luźne kartki. W następnej chwili zacisnął wargi i zmrużył oczy. Intensywnie myślał, a po chwili powiedział coś do Eurydyki, która spojrzała na niego zbita z tropu. Zakładałam, że to musiało być pytanie o elektrykę. Następnie Władek przewrócił kilka stron notesu i odczytał kolejne pytanie. Wróżka ponownie wyglądała na zdezorientowaną. Tym razem stawiałam na pytanie niezobowiązujące. Kolejne musiało być z kolei związane z klątwami, bo Eurydyka wzburzyła się i zaczęła machać rękami.

– Pani Lucjo, informacje płynące z mowy ciała tej kobiety są sprzeczne. – Konieczny westchnął.

– Chciała podłączyć kulę do kontaktu. To chyba wyklucza ją z grona podejrzanych, prawda? Wyraźnie nie miała pojęcia, że kabelki są zamienione.

– Ale dziwnie reaguje na pytania – zauważył aspirant. – Jakby miała coś na sumieniu.

– Prawdopodobnie dlatego, że Władek pomylił kartki – wyjaśniłam.

Konieczny opadł ciężko na krzesło.

– Niekiedy, pani Lucjo, czuję, że praca mnie przytłacza. Nie przydarza się to pani?

– Nigdy.

Policjant zerwał się z miejsca i zastukał w szybę. Władek prze-rwał, rozejrzał się dookoła i podszedł do drzwi, po czym sprawdził, czy nikogo za nimi nie ma, i wrócił do Eurydyki, kręcąc głową.

– Ja zwariuję – jęknął Konieczny i znowu załomotał w szybę. Mowa ciała Władka sugerowała, że nie wie, skąd dochodzi pukanie. Ponownie wyjrzał za drzwi i nikogo za nimi nie zobaczył. Nagle widać było, że pojał. Złapał kulę i podał Eurydyce, która zdumiona wzięła ją w rękę, a po chwili oddała.

Konieczny zakrył twarz rękami. Władek wybiegł z pomieszczenia i po sekundzie pojawił się w naszym pokoju.

– Melduję posłusznie, że podejrzana wzięła kulę bez oporu. Stwierdziłem także, że nie posiada wiedzy na temat niczego niezobowiązującego. Czy mam procedować przesłuchanie?

Rozdział 17

Gdyby Konieczny chodził jeszcze dłużej po pokoju, niewątpliwie na wykładzinie pojawiłby się okrąg, a w podłodze wgłębienie. Właściwie to okrąg zaczął się już zarysowywać i z zainteresowaniem czekałam na resztę.

– Wykluczaliśmy już prawie wszystkich – opowiadał aspirant, ciągle krążąc. – Właściwie została nam tylko jedna osoba. Ten cały Euzebiusz, wyjątkowo podejrzana postać. Niech pani zauważy, pani Lucjo, że on wciąż się gdzieś wkrada, wszędzie go pełno, może wejść do każdego pokoju.

– Być może dlatego, że wszystkich zastępuje – wysunęłam przypuszczenie.

– Możliwe – zgodził się Konieczny. – Ale czy to nie osobliwa koincydencja, że na miejscu zbrodni spotykamy mężczyznę, który nie tylko może wszędzie wejść i ma sposobność dokonania zbrodni, ale też umiejętności ku temu?

– Tego nie wiemy – zauważyłam.

– Każdy facet potrafi połączyć kabelki – oznajmił Władek. – Ja na przykład potrafię podłączyć tę kulę tak, żeby nie zrobić sobie krzywdy.

I zademonstrował tę umiejętność, wkładając wtyczkę kuli do kontaktu.

– To seksistowskie – stwierdziłam.

– Inspektor Wąski nigdy nie twierdził nic podobnego. – Konieczny pokręcił głową. – Wręcz przeciwnie. Zawsze podkreśla, że należy doceniać kobiety. Uważa, że kobieta potrafi zabić tak samo jak mężczyzna, a nawet jeszcze lepiej. Ty, Władek, idź już po tego Euzebiusza.

Jego podwładny trzasnął obcasami i wyszedł, a Konieczny kontynuował:

– Wielu policjantów o tym zapomina. Widzi trupa i od razu szuka mordercy – mężczyzny. Inspektor Wąski zawsze mówi, że w dzisiejszym świecie wszyscy musimy być feministami.

– Miło z jego strony – uznałam.

– Rzeczywiście – przytaknął Konieczny. – Klasyczny błąd antyfeministy to zakładanie, że tylko mężczyzna może być sprawcą. Tymczasem feminista dostrzeże potencjał zbrodni tkwiący w kobiecie, wskaże ją i zamknie. Polska policja w ogóle nie jest seksistowska, tylko bardzo feministyczna i z chęcią wsadza również kobiety. O ile są winne – dodał szybko. – Tymczasem mam jednak przekonanie, że w tym wszystkim maczał łapy wróż zapasowy.

W tym momencie Euzebiusz wpadł do pokoju i potknął się o wykładzinę. Zdołał utrzymać równowagę, jednak nie można było tego powiedzieć o kubku kawy, który trzymał w ręce.

– Przepraszam, zaraz posprzątam. – Rozejrzał się bezradnie dookoła.

Westchnęłam, podeszłam do szafki i wyjęłam rolkę ręcznika papierowego.

– Skąd pani wie, że są akurat tutaj? – zdumiał się wróż. – Przecież pani tu nie sprząta.

– Ja wiem wszystko – wyjaśniłam.

– Ja też – ucieszył się. – Zwłaszcza kiedy wróżę z fusów. Z kawy, dlatego zawsze mam kubek przy sobie. Babcia mnie nauczyła.

– Moja też wróżyła z fusów – wyznał Władek. – Raz miałemjechać na kolonie, a ona w fusach zobaczyła, że będą kłopoty.

– I były? – zainteresował się wróż zapasowy.

– Niestety. – Policjant zwiesił głowę. – Ktoś włamał się do spiżarni i wyniósł wszystkie słodczyce oraz kilka butelek piwa, które trzymali wychowawcy. A także butelkę wódki oraz prawie cały karton papierosów.

– Mam nadzieję, że wykryto winnych działających na szkodę młodzieży oraz wychowawców. – Konieczny zmarszczył brwi.

- Wykryto – mruknął Władek. – Dlatego były kłopoty.
- I ukarano?
- Niestety tak. Usunięto ich z kolonii – westchnął podkomendny. – Rodzice sprawców byli niepokieszeni. Zlali ich strasznie po tyłku.
- Cóż, może była to dla nich nauczka – zauważył Konieczny. – Bo inaczej zeszliby na złą drogę. A tak być może są porządnymi ludźmi.
- Z całą pewnością. – Władek się uśmiechnął, odruchowo dotykając swoich pośladków. – Babcia potem pokazywała mi, że takie pagórki z fusów oznaczają kłopoty.
- Oczywiście – przytaknął Euzebiusz. – Mnie zawsze wychodzą pagórki, ale to dlatego, że wciąż coś psuję i zalewam tą kawą. Wczoraj miałem zajęcia na uczelni i oblałem koleżance laptopa. Potem zaoferowałem się, że powrózę jej z fusów za darmo.
- I co wyszło? – zainteresował się Władek.
- Kłopoty i brak pieniędzy – wyjaśnił Euzebiusz. – I sprawdziło się bardzo szybko. Dziś zadzwoniła i powiedziała, że laptop nie działa, więc oczekuje, że naprawię go na własny koszt. A przecież dostała wróżbę w gratisie.
- Często pan tak wszystko psuje? – zapytałam.
- Pan Kowalski powiedział, że mam nie podchodzić bliżej niż na metr do urządzeń elektronicznych i elektrycznych. Po tym, jak zalałem kawą jego komórkę.
- W takim razie jakim cudem mógł pan zastępować wróżkę Eu-femię posługującą się kulą plazmową podłączoną do prądu? – dociękał Konieczny.
- Miałem na podłodze narysowaną linię i zakaz podchodzenia bliżej – odparł Euzebiusz. – A już w ogóle nie było mowy o dotykaniu kuli. Miałem się w nią tylko wpatrywać. Pan Kowalski uważa, że jestem zbyt nerwowy i drżą mi ręce.
- To pewnie od nadmiaru kawy – zauważyłam.

– Czasem muszę wypić ze dwadzieścia dziennie, jak jest duże zapotrzebowanie na fusy – poskarżył się Euzebiusz.

– Nie można wróżyć kilka razy z tych samych? – zdumiał się Konieczny.

– Nie, w życiu! – oburzył się Władek. – Babcia mówiła: „Nowa sprawa, nowe fusy”.

– Właśnie. – Euzebiusz pokiwał głową. – Próbowałem wróżyć z bezkofeinowej, ale ona w ogóle nie zdradza przyszłości.

– Może melisa? – zasugerowałam.

– Co takiego?! – Władek wyglądał na wstrząśniętego. – Babcia by się w grobie przewróciła!

– Fusy z kawy dają o wiele więcej możliwości interpretacyjnych – wyjaśnił Euzebiusz. – Bo na przykład te z rumianku dają niewiele, najwyżej kilka dni do przodu. Zaraz zademonstruję.

Wstał i ręką trzymającą kubek z resztką kawy wykonał zamaszty gest w powietrzu. Płyn, razem z częścią fusów, chlusnął na biurko, rękaw Koniecznego oraz szklaną kulę, z której dobył się siwy dym.

– Ojej, przepraszam – westchnął Euzebiusz. – Właśnie dlatego mam ten zakaz.

Rozdział 18

Znacie ten moment w filmach katastroficznych, kiedy wydaje się, że wszystko stracone? Olbrzymia asteroida zmierza w stronę Ziemi i za trzy godziny uderzy w Stany Zjednoczone, niszcząc całą planetę, a tak się nieszczęśliwie stało, że misja ratunkowa spaliła na panewce, ładunek, który miał unieszkodliwić asteroidę, nie odpalił, rakiety balistyczne mające ją anihilować chybiły o włos i wszystko wskazuje na to, że mniej więcej w porze na herbatę świat się skończy.

Nastrój Koniecznego sugerował, że asteroida uderzy najdalej za parę godzin. Z tym że zamiast „asteroida” wstawcie sobie „inspektor Wąski”. Gdyby zresztą aspirant miał wybór między asteroidą a inspektorem Wąskim, zdecydowałby się z pewnością na to pierwsze. Ale wyboru nie miał. Chodził więc po pokoju i biadał, uważając, jak się zdaje, że wszystkie znane i nieznanne problemy świata, z globalnym ociepleniem włącznie, są niczym w porównaniu z jego sytuacją.

– Pani Lucjo, wysłuchaliśmy wszystkich, a winnego brak – narzekał. – Każdy ciągnął do tej kuli jak niedźwiedź do miodu, ewentualnie okazał się dyletantem elektrycznym. Inspektor Wąski owszem, też miewał skomplikowane sprawy, ale po odsianiu tych, którzy nie mogli popełnić przestępstwa, zostawał zawsze tylko jeden sprawca, który ewidentnie mógł je popełnić. I popełnił. Weźmy takiego Pałkarza z Krasnegostawu. Miejscowa policja za nic nie mogła znaleźć winnego, a inspektor Wąski dokonał tego natychmiast. Ten Pałkarz napadał na ofiary i z ogromną siłą zadawał im cios w głowę pałką, a właściwie kijem bejsbolowym.

– Domyśliłam się – skinęłam głową.

– Policjanci usiłowali wytypować sprawcę i w końcu mieli czterech podejrzanych. Kazali im uderzać pałką w manekin i mierzyli

siłę uderzenia. Nic jednak nie wykryli, wszystkie ciosy były bowiem o wiele słabsze niż te zadawane przez Pałkarza. I wie pani, co zrobił wówczas inspektor Wąski?

– Jak sędzę, spróbował sprawdzić, czy nikt nie oszukiwał i nie markował uderzenia – wysunęłam przypuszczenie.

– Otóż to, pani Lucjo. – Konieczny spojrział na mnie z uznaniem. – Byłaby pani dobrą policjantką. Po ukończeniu kilkuletniego szkolenia u inspektora Wąskiego, ma się rozumieć.

– Oczywiście – przytaknęłam. – Jak sędzę, wziął ich na ambicję?

– Dokładnie tak – ucieszył się aspirant. – Czytała pani o tej sprawie? – Zerknął na mnie podejrzliwie.

– Strzelałam w ciemno – zapewniłam go.

– Oznajmił, że wyglądają na cherlaków, którzy nie dorzucają kulą do dwudziestego metra. I trzech rzeczywiście rzuciło najwyżej na dziesięć metrów. Ale jeden, niejaki Wiesław Jarzyna, pseudonim „Biceps”, zamachnął się i dosięgnął dwudziestu metrów. I wie pani, co się wydarzyło?

– Zapewne inspektor Wąski go zamknął.

– Właśnie tak! – potwierdził Konieczny. – Na pewno nie czytała pani o tej sprawie?

Zaprzeczyłam.

– Tak czy inaczej, tutaj nie mamy ewidentnego podejrzanego. Ani podejrzanę. – Aspirant zwiesił smętnie głowę. – I nie mam pojęcia, jak wytypować winnego. Albo winną.

Już miałam podrzucić mu jedną lub dwie rady, ale do pokoju wpadł Kowalski.

– Pani Lucjo, niech pani coś zrobi! Pani jest od katastrof, a tu się taka szykuje. Mają mnie zamknąć!

Musiało być naprawdę gorąco, skoro mój zleceniodawca przypomniał sobie, jak naprawdę mam na imię.

– Inspektor Wąski przyjechał? – Konieczny zbladł i aż podskoczył, a potem przywarł do ściany.

– Kto? A, nie. Sanepid chce mnie przyskrzynić – wyjaśnił Kowalski. – Ja im tłumaczę, że to zemsta konkurencji, że ci z „Magii Twardowski” złożyli na mnie fałszywy donos, ale oni nawet słuchać nie chcą. A ja przecież wszystko płacę, ZUS-y, KRUS-y, PIT-y, CIT-y...

Wyszliśmy na korytarz. Kobieta, która tam królowała (a królowanie nie było słowem na wyrost), omiotła nas groźnym spojrzeniem.

– Brygida Szprecht – powiedziała, jakby spodziewała się, że tyle wystarczy. Ale ostatecznie dodała: – Powiatowy inspektor sanepidu. Kim państwo są oraz proszę opuścić pomieszczenie.

– Aspirant Konieczny, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i niczego nie zamierzam opuszczać – obruszył się Konieczny.

– O tym to ja zadecyduję – mruknęła Szprecht. Przewyższała policjanta o głowę. Wyglądało na to, że w bezpośrednim starciu byłby bez szans.

Wyjęłam komórkę i odsunęłam się na bok, żeby wykonać krótki telefon. Skończyłam w samą porę, żeby zobaczyć, jak wróż Eugeniusz wypada ze swojego pokoju.

– Widziałem to w swojej wizji! – krzyknął. – Ręce, które sprawdzają czystość, a potem zamykają drzwi na klucz. Mówiłem, przestrzegalem, ale kto by mnie tam słuchał!

– Bo twierdziłeś, że nas zamkną za oszustwa podatkowe – wykrzyknęła Eulalia, która też wyszła ze swojego pokoju. – A biedna Eufemia przepowiadała, że wcale nie zamkną wszystkich, tylko jedną osobę, winną tych przekrętów.

– Ależ oczywiście, że mówiłem o czystości – upierał się Eugeniusz. – A kto ją sprawdza? Sanepid. Ale nie, wolałyście mnie obłożyć klątwami, zamiast przemyśleć znaczenie mojej wizji.

– Pani Lucjo, niech pani coś zrobi! – Kowalski załamywał ręce. – Przecież oni się zaraz pozabijają.

– Niech ci ręka od tego tarota uschnie i odpadnie! Albo obie! – syknął Eugeniusz, mierzając palcem w Eulalię.

– A tobie niech oczy wypali! – krzyknęła wróżka.

– Proszę zakończyć działalność w pomieszczeniach zamykanych przez sanepid – zawyrokowała Brygida Szprecht.

– Będę okładał klątwami do woli – oburzył się Eugeniusz. – Panią też obłożę.

– Zostanie to poczytane jako atak na urzędnika państwowego wykonującego czynności – poinformowała go Brygida Szprecht.

Mierzyli się przez kilka chwil wzrokiem, a potem wróż nagle spotulniał.

– To ja już pójdę – mruknął i podreptał do swojego pokoju.

Urzędniczka odprowadziła go beznamiętnym spojrzeniem.

– Nie zadziera się z sanepidem – rzuciła. – Zanotowałam sporą liczbę uchybień związanych z prowadzoną tu działalnością gospodarczą oraz potencjalne ryzyko wystąpienia epidemii.

– Jakiej znowu epidemii!? – wykrzyknął Kowalski. – Pani Lucjo, niech pani wytłumaczy.

– Mam tu zgłoszenie, że istnieje ryzyko jej wybuchu. – Szprecht zerknęła na trzymany w dłoni dokument.

– A nie mówiłem! – zagrzemiał Kowalski. – To zemsta konkurencji.

– Zgłaszający przekazał, że notorycznie uchybia się tutaj zasadom higieny – stwierdziła Szprecht.

– Wydaje mi się, że zgłaszający się już rozmyślił i doszedł do wniosku, że mówił o kimś innym – wtrąciłam.

– A mnie się tak nie wydaje – burknęła urzędniczka.

– Stawiałabym nawet na to, że wkrótce zadzwoni i potwierdzi moje słowa – zasugerowałam.

– Każdy może tak powiedzieć! – prychnęła kobieta. – My, stacja sanitarno-epidemiologiczna, nie dajemy się nabierać na ograne chwytły.

– Proszę więc zadzwonić samej i sprawdzić – zaproponowałam.

Brygida Szprecht spojrzała na mnie wyniośle i sięgnęła po komórkę. Wykręciła numer i chwilę słuchała. Jej mina stała się co-

kolwiek mniej nieprzystępna, co nie znaczy, że bardziej sympatyczna.

– Jest pan pewien? A więc to była pomyłka? Nie rozumiem, jak można się tak pomylić? Zdaje pan sobie sprawę, jakie konsekwencje pociąga za sobą podawanie mylnych informacji do stacji sanitarno-epidemiologicznej? I co z tego, że bardzo panu przykro? Żegnaj!

Schowała komórkę i zamyśliła się.

– Cóż, zgłaszający nagle stwierdził, że chodziło mu o zupełnie inny adres, i odwołuje wszystkie zarzuty. W takiej sytuacji będę musiała się oddalić. Zwracam jednak uwagę na konieczność uprzątnięcia powierzchni płaskich. Bardzo tu dużo plam po kawie. Pokrywają prawie całą wykładzinę.

– To wróż zapasowy Euzebiusz wciąż ją rozlewa – pospieszył z wyjaśnieniem Kowalski.

– Wróż zapasowy? – Kobieta spojrzała na niego, jakby był niepełna rozumu. – Wychodzę, ale nalegam na utrzymywanie higieny w środowisku pracy. Proszę pamiętać, że zawsze możemy się pojawić z niezapowiedzianą kontrolą.

– Ależ oczywiście, posprzątamy – zapewnił ją potulnie biznesmen. – Niedługo się zmieni, wyczyści, redekoruje.

– Niedługo?

– Powiedziałem „niedługo”? To przejęzyczenie. Już się za to zabieram.

– Mam nadzieję – prychnęła Brygida Szprecht. Obróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami.

Ciszę, która nagle zapadła, zmącił dopiero Konieczny.

– Niech pani powie, pani Lucjo, jak pani tego dokonała.

– Czego? – spytałam niewinnie.

– Jak się pani pozbyła tej wielkiej kobiety. – Aspirant ściszył głos, jakby się spodziewał, że Brygida Szprecht wciąż czai się gdzieś w pobliżu.

– Ach, jej. – Machnęłam ręką. – Drobiazg.

- Ale jak? – Uśmiechnął się przymilnie.
- Powiedzmy, że „Magia Twardowski” została poinformowana przez anonimową osobę, że jeśli nie wycofa skargi do sanepidu, to w trybie pilnym zjawi się u nich urząd skarbowy.
- Musiałby przecież mieć podstawę do kontroli – zdziwił się Konieczny.
- Tak się składa, że by miał. – Skinęłam głową. – Ta anonimowa informatorka dostarczyłaby wiedzy o pewnych sumach z „Magii Twardowski” znikających w offshorowej spółce na Kajmanach.
- Aspirant spojrzał na mnie z lekkim przestraszaniem.
- Ta anonimowa informatorka jest bardzo dobrze poinformowana, pani Lucjo – powiedział z podziwem. – I trochę niebezpieczna, jeśli nadepnąć jej na odcisk.
- Dlatego odradza się nadeptywać jej na cokolwiek – stwierdziłam.

Rozdział 19

Kiedy weszliśmy do aneksu kuchennego, Jacek Wężyk zerwał się z miejsca.

– Długo jeszcze będę musiał tu siedzieć? – zaczął się skarżyć. – Chciałbym wrócić do domu, z dziećmi porozmawiać, a policja mi nie pozwala. Tymczasem panowie policjanci wcale nie zajmują się sprawą mojej żony.

Konieczny skrzywił się i skinął na Władka.

– Zajmij się tą sprawą. Sprawdź, czy nie ma luki w zeznaniach.

– Ależ co też pan mówi? – zaniepokoił się Wężyk. – Jaka luka? Ja sobie wypraszam, ja się poskarżę do czynników wyższych.

– Można użyć środków przymusu? W ostateczności? – W głosie Władka zabrzmiała nadzieja.

– Tylko, jeśli podmiot odmawia współpracy – odparł Konieczny.

– Wszystko opowiem – przeraził się Wężyk.

– O której zaginiona Wężyk Wanda wyszła do sklepu? – zaczął Władek.

– O dwudziestej dwadzieścia. Poszła do sklepu Bambino – odpowiedział Wężyk. – Po piwo.

– Na pewno dokładnie o tej godzinie? – indagował podkomendny.

– Na pewno.

– A kiedy zaniepokoił się pan brakiem wyżej wymienionej małżonki w domu?

– O dwudziestej pierwszej, kiedy nadal jej nie było. Do sklepu idzie się tylko pięć minut.

– To dlaczego nie zaniepokoił się pan o dwudziestej czterdzieści? – pytał dalej Władek.

– W sumie to się zaniepokoiłem o dwudziestej czterdzieści. Ale jeszcze nie bardzo – przyznał Wężyk.

– Aha! – wykrzyknął uradowany policjant. – Czyli trochę zaniepokoił się pan o dwudziestą czterdzieści, ale bardzo dopiero o dwudziestą pierwszą! Źle to wygląda, panie Wężyk.

– Ależ skąd! Od razu chciałem do niej dzwonić, ale pomyślałem, że może pije z kimś to piwo.

– Dlaczego miałyby je z kimś pić? Miała kochanka?

– Skądże.

– A skąd pan wie? Sprawdzał to pan, bo podejrzewał?

– Nie, absolutnie. – Jacek Wężyk otarł pot z czoła. – Ale pomyślałem, że może ją suszyło, to otworzyła piwo i wypła. Pan nigdy nie pił piwa po drodze ze sklepu?

– Policjant nie pije – oburzył się Władek. – Chyba że bezalkoholowe. Podejrzana o zniknięcie jakie piła?

– Takie z białą etykietą. Chyba.

– Czyli nie wie pan, jakie piwo preferowała żona?

– Lager – wyjaśnił Wężyk. – Przypomniałem sobie właśnie.

– Kobiety zwykle wolą smakowe – oświadczył Władek.

– Ale ona lubiła lager. – Wężyk twardo obstawał przy swoim.

Z drzwi po lewej wychynął wróż Eneasza. Wyglądał na zmęczonego. Podszedł do kuchenki i nalał sobie herbaty.

– A więc pańska małżonka udała się o dwudziestą dwadzieścia do sklepu Bambino, celem nabycia piwa lager, i już nie powróciła? – podsumował Władek.

– Tak właśnie było – westchnął Wężyk. – A teraz chciałbym porozmawiać z dziećmi i udać się do domu. To znaczy najpierw się udać, a potem porozmawiać.

Zerknęłam na wróża Eneasza i pochwyciłam jego porozumiewawcze spojrzenie.

– Niestety będzie musiał się pan udać do aresztu – powiedziałam.

– Co takiego? Ja sobie wypraszam! – Wężyk zerwał się na równe nogi.

– Sprawa małżeństwa Kapałów, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci – wyjaśnił wróż Eneasze.

Konieczny otworzył szeroko oczy i palnął się w głowę.

– Wiedziałem, po prostu wiedziałem – zawołał. – Inspektor Jerzy Zaręba.

Dozorca, a właściwie wciąż wróż Eneasze, skinął głową.

– Ale skąd pan się tu wziął? – entuzjasmował się Konieczny.

– Panie aspirancie, mam go zamknąć? – Władek z niepewną miną obserwował Wężyka.

– Moment, nie teraz, Władek! – Aspirant wskazał dozorcę. – Nie widzisz, że to inspektor Zaręba? Legenda policji.

– Było, minęło. – Zaręba vel wróż Eneasze skromnie się zarumienił.

– Ależ nie! – zakrzyknął Konieczny.

– Znaczy nie zamykać, puścić wolno? – dopytywał Władek.

– Ja już sobie pójdę, autobusem dojadę albo autostopem – obiecał Wężyk i ponownie wstał.

– Inspektor Wąski mówił, że wiele panu zawdzięcza – cieszył się aspirant, uśmiechając się do Eneasza vel Zaręby. – Kiedy rozwiązał sprawę bombiarza z Pabianic, opowiadał, jak celne miał pan uwagi.

– Kiedy ja rozwiązałem sprawę bombiarza z Pabianic, Wąski właśnie kończył szkołę policyjną i przyjechał na staż – sprostował wróż Eneasze. – Powiedziałem mu wtedy: „Szukasz bombiarza, znajdź sapersa”.

– To samo powtarzał zawsze inspektor Wąski – zachwycił się Konieczny.

– Przepraszam, że przerywam panom te uroczne wspomnienia – chrząknęłam – ale podejrzany Wężyk właśnie wyszedł.

– Jak to „wyszedł”? – zirytował się Konieczny.

– Melduję, że pan aspirant zapytany dwie minuty temu o możliwość zamknięcia obywatela Wężyka Jacka odpowiedział, cytując

ję... – Władek otworzył zeszyt – ...„Ależ nie. Moment, nie teraz, Władek”. Koniec cytatu.

– Natychmiast zatrzymaj i doprowadź – rozkazał mu szef.

Władek popędził za Wężykiem.

Aspirant spojrzał na nas rozkojarzonym wzrokiem.

– Ale dlaczego właściwie ja go zatrzymuję? – zastanowił się.

– Bo żona Wężyka miała wyjść do sklepu – wyjaśniłam.

– O dwudziestej dwadzieścia – dodał Zaręba. – Sklepy Bambino są czynne do dwudziestej.

– Melduję, że doprowadziłem podejrzanego. – Władek wyprężył się, trzymając Wężyka za wykręconą rękę.

– Ale panowie, o co chodzi?! – wykrzyknął zatrzymany.

– Sklep Bambino był nieczynny, kiedy pańska małżonka rzekomo do niego poszła – nastroszył się Konieczny. – Pana żona o tym wiedziała. A my doskonale wiemy, że nie wyszła do tego sklepu. Co chce nam pan powiedzieć, panie Wężyk?

Mąż zaginionej opadł na kanapę, zdumiony.

– Do dwudziestej? Jak to do dwudziestej? Sprawdzalem w internecie. Do dwudziestej pierwszej.

– Niedawno zmienili, braki kadrowe. W internecie nie aktualizują strony – wyjaśniłam.

– Mam go skuć? – dopytywał Władek.

– Skuj. – Konieczny zatarł ręce. – To dopiero inspektor Wąski się ucieszy.

Sam jeszcze nie zdążył się nacieszyć rozwiązaniem jednej ze swoich dwóch spraw, kiedy do pomieszczeń „Magii Kowalski” weszło trzech mężczyzn w niebieskich drelichach z wielkimi kartonami przytulonymi do piersi.

Aspirant cały spurpurowiał.

– Tu się toczy sprawa o morderstwo, wyjątkowo okrutne, i to za pomocą kuli wróżebnej, a każdy sobie wchodzi, jakbyśmy byli na dworcu.

– Protestuję! Nie zabiłem jej kulą, ona sama upadła – uściślił Wężyk.

– Władek, spis zeznanie – polecił Konieczny. – A panowie mają wyjść! – zwrócił się do mężczyzn w drellichach.

– Niech zostaną, ja ich ściągnąłem. – Kowalski zmaterializował się, jakby wyrósł spod ziemi. – Przynieśli akcesoria do redekoraacji. Nie spieszyli się panowie – dodał z przekąsem. – Zamówienie było złożone dwa tygodnie temu.

– Przepraszamy – powiedział jeden z mężczyzn. Przez te drellichy i jednakowy wzrost wyglądali identycznie. – Przerwy w łańcuchu dostaw.

– Przerwy w łańcuchu – mruczał Kowalski. – A ja nie mam przerw w zapłacie ZUS-ów i KRUS-ów! Zresztą mniejsza o to. Zanieście te kartony do środka. – I machnął ręką w stronę gabinetu denatki Eufemii.

– Absolutnie nie! – zaprotestował Konieczny. – Jeszcze nie zakończyliśmy śledztwa.

– To niech wstawią tylko świece pszczele – poprosił Kowalski. – To delikatny towar, jak rzucą gdzieś w korytarzu, ktoś się potknie i świece popękają. I te miseczki, one są z takiej delikatnej ceramiki.

– Panie aspirancie, melduję, że podejrzany Wężyk Jacek twierdzi, iż zabił małżonkę w sposób niechący – wtrącił Władek. – A inspektor Wąski już jedzie.

– Jezus Maria! – przeraził się Konieczny. – Przecież wciąż nie mamy sprawcy zgonu Eufemii.

– Melduję, że może obywatel Wężyk Jacek nada się na sprawcę, choć niechącego – zaproponował Władek. – Zawsze to morderca.

– Ale ja potrzebuję mordercy Eufemii – jęknął Konieczny.

– Przecież pan go ma – pocieszyłam go.

– Tak? – Aspirant spojrział na mnie niepewnie. – Mam?

– Stoi przed panem. – Wskazałam Kowalskiego.

– Ja? – zdumiał się biznesmen.

- On – potwierdził Zaręba.
- On? – zdziwił się Konieczny.
- On – przytaknęłam. – Dwa tygodnie temu zdecydował, że redekoruje pokój Eufemii. Tylko że zamówił świece i naczynia do ceromancji, a nie wystrój dla wróżki pracującej ze szklaną kulą.
- Do czego? – zapytali chórem Konieczny i Władek.
- Do wróżenia z wosku – odpowiedziałam. – A Eufemia zajmowała się przecież wróżeniem z kuli. Więc pan Kowalski już dwa tygodnie temu wiedział, że chce się pozbyć tej pracownicy i zatrudnić na jej miejsce inną wróżkę, o innej specjalności. Pan Kowalski nie zniósłby myśli, że jakieś pomieszczenie stoi puste i nikt tam nie wróży.
- Bo ja mam, proszę państwa, przecież te ZUS-y... – zaczął biznesmen, ale Konieczny wszedł mu w słowo.
- Ale dlaczego?
- A Władek dodał:
- Żeby tak zabić własną wróżkę? Nie ma już dla ludzi nic świętego...
- Eufemia zobaczyła w swojej szklanej kuli rachunki. Lewe rachunki – wyjaśniłam. – Zapewne opowiedziała o tym panu Kowalskiemu i wtedy on podjął decyzję, że się jej pozbędzie. Nie chciał mieć do czynienia ze skarbówką.
- To wszystko kłamstwo! – Biznesmen aż podskoczył. – Zadzwoń do elektryka, żeby naprawił kulę, i on mówi, że tysiąc złotych. A przecież taka suma, sami państwo rozumieją, piechotą nie chodzi. Powiedziałem więc Eufemii, żeby sobie tę kulę zreperowała, a ona obrzuciła mnie klątwami i dalej o tych rachunkach. No nie mogłem tego znieść!
- Też widziałem rachunki! – Wróż Eugeniusz zmaterializował się nagle obok i wskazał na Kowalskiego. – To twoje łapska darły papiery w mojej wizji!
- Mówiłeś, że to ręce Eufemii – zirytowała się Eulalia, która też pojawiła się nie wiadomo skąd.

– Mają podobne dłonie – powiedział wróż.
– Sama chciała dotknąć tej kuli, przysięgam – wrzasnął Kowalski. – A воск jest modny teraz u tych młodych, z brodami.
– Ajatollahów – wzdrygnął się Władek.
– Nie, tych, co piją kawę po dwie dychy. Hipsterów – wyjaśnił biznesmen. – Jak ich stać na kawę za tyle, to czemu nie mogliby zapłacić za lanie wosku? Z tego przynajmniej można się dowiedzieć czegoś o przyszłości, a z kawy nie.
– O przepraszam! Euzebiusz wywróżył mi, że rozwód będzie trudny, właśnie z fusów – obruszyła się Eulalia.
– Każdy rozwód jest trudny. – Eugeniusz wzruszył ramionami. – Ja widziałem ręce, które liczą pieniądze.
– Ale to miały być moje ręce – zirytowała się Eulalia. – A okazało się, że to dłonie męża.
– Pewnie też macie podobne dłonie – uznał wróż.
– Władek, skuj pana Kowalskiego – polecił Konieczny.
– Ale ja bym przecież wszystko opłacił – jęknął właściciel „Magii Kowalski”. – Tłumaczyłem Eufemii, że trzeba stopniowo. Po maleńku. Najpierw redekorować, wszystkie ZUS-y popłacić i dopiero potem jej pensję. A ona się uparła i zagroziła, że mnie zgłosi do urzędu. No jak tak można donosić na pracodawcę? – Biznesmen załamał ręce. – Ja to wszystko wyjaśnię.
– Melduję, że zgłaszam deficyt kajdanek, druga para znajduje się w samochodzie służbowym – zaraportował Władek. – Zaraz przyniosę, panie aspirancie.
I wybiegł przez drzwi wejściowe.
Uznałam, że to dobry moment, żeby ulotnić się po angielsku.
Władka znalazłam, jak wyciągał z zamrażarki wielką paczkę.
– Włożę do auta, żeby nie zapomnieć, no i żeby pan aspirant tak się nie denerwował, że przy nim wkładam – sumitował się.
Wyszliśmy przed budynek. Władek otworzył bagażnik i zaczął upychać w nim połówkę świniaka.

I wtedy obok samochodu służbowego pojawiła się jak duch Brygida Szprecht. Co, zważywszy na jej rozmiary, naprawdę nie było proste.

– Brygida Szprecht, inspektor stacji sanitarno-epidemiologicznej – poinformowała Władka i mnie, chociaż już to wiedzieliśmy. – Otrzymałam doniesienie o nielegalnym handlu mięsem.

– Nielegalnym? Mięsem? – Władek pobladł, jakby sam był duchem.

– Zaprzecza pan, że w paczce znajduje się mięso wieprzowe w ilości wskazującej na nielegalny ubój i handel?

– Jaki znowuż nielegalny? – oburzył się policjant. – Szwagier ma kilka świnek i kiełbaski robi.

– Właśnie mówię – powtórzyła Brygida Szprecht beznamiętnym tonem. – Nielegalny.

– Ja jestem legalny – zaperzył się podkomendny. – Nazywam się Kant, Władysław Kant, i prawo moralne jest we mnie.

– Może i jest, ale to będzie mandat.

– Ja jestem policjantem! – uniósł się Władek.

– Tym gorzej – fuknęła Brygida Szprecht. – Policjant ukarany w sprawie karnej. Czarno to widzę.

– Pani Lucjo! – Władek spojrzał na mnie błagalnie. – Niech pani coś zrobi.

– Na to nie ma żadnej czarodziejskiej sztuczki – oznajmiła Brygida Szprecht, wyciągając blok druczków. – Nazwisko, imię, adres.

– Kant Władysław – wyszeptał Władek, wpatrując się we mnie błagalnie. – Ale będę mógł zachować mięso?

– Chyba pan żartuje! – burknęła Brygida Szprecht. – Bez badań, obdukcji, opinii sanepidu? Imiona ojca i matki?

Odeszłam na bok, sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Koniecznego.

– Wiedziałem, pani Lucjo. – Głos aspiranta był niemal wesoły. Przy czym kluczowe słówko to „niemal”. – Zgaduję, że dostała

pani dodatkowy mandat?

– Zaskoczę pana, tym razem nie ja. – Wyłuszczyłam sprawę, a potem przeczekałam przeciągłe jęknięcie w słuchawce.

– Macie mnie chyba za cudotwórcę – mruknął Konieczny.

– Już panu mówiłam: tę rolę rezerwuję dla siebie. A inspektor Wąski bardzo się ucieszył, że błyskawicznie rozwiązał pan sprawę wróżki, prawda?

– Tak, tak – potwierdził aspirant. – Miał przyjechać, mówiłem, że spotkałby tu nawet swojego dawnego przełożonego. Niestety w ostatniej chwili coś mu wypadło. Sanepid, mówi pani...

Potwierdziłam.

– Nic nie obiecuję – westchnął i się rozłączył.

Wróciłam do Władka stojącego z opuszczoną głową przed Brygidą Szprecht, która rugała go jak uczniaka.

– Nazwisko osoby, od której nabył pan część tucznika – wypytywała.

– To tajne dane osobowe – bronił się Władek. – Nie powiem.

– Ach tak? – sapnęła Brygida Szprecht. – Żle się to dla pana skończy.

W tym momencie zabrzęczała jej komórka. Sięgnęła po nią niecierpliwie.

– Nie mam czasu rozmawiać... – rzuciła, ale nagle twarz jej się zmieniła. – Tak, oczywiście, tak, tak – powtarzała. – Zrozumiałam bardzo dokładnie.

Wyłączyła telefon i spojrzała na Władka ze złością, pomieszaną jednak z pewną dozą szacunku.

– Tym razem panu daruję – oświadczyła.

– Ale świniaka mogę zabrać? – upewnił się policjant.

– Tak! – warknęła Brygida Szprecht. – I żeby mi to była ostatnia taka świnią!

Władek zatrzasnął bagażnik.

Urzędniczka zmierzyła mnie spojrzeniem, jakby chciała mnie zabić, więc odwdzięczyłam jej się tym samym.

– Lucja Słotka. Zapamiętam sobie to nazwisko – wycedziła.

– Dam pani wizytówkę, na wszelki wypadek. Lucja Słotka, Home Disaster Manager. – Wręczyłam jej kartonik.

Wsiadłam do forda mustanga i zapuściłam silnik. Znowu coś zadzwoniło. Tym razem była to moja komórka.

– Pani Łucja Słotka? – zapytał głos w słuchawce.

– Lucja – poprawiłam.

– Mam dla pani zlecenie – kontynuował głos. – Jest pani wolna?

– Tak się składa, że owszem.

– Dzwonię z wydawnictwa. – Wymienił nazwę. Duża firma, która mogła sobie pozwolić na moje usługi. – Jestem redaktorem, pracuję ze znanym pisarzem horrorów. – Wymienił nazwisko. Znałam je. Podobnie jak cała Polska, a w każdym razie ta część, która potrafi czytać. – Ma problem z prokrastynacją. Nie potrafi skończyć powieści w terminie. Kolejnej.

– Nie chce mu się – stwierdziłam.

– To bardziej skomplikowane, pani Łucjo.

– Lucjo. Czy to już wszystko?

– Skąd – jęknął redaktor. – Do tego dochodzą kłopoty z ekranizacją. Cały czas się wtrąca w scenariusz. Czy może to sobie pani wyobrazić?

Tak się złożyło, że mogłam.

– Czy to już wszystko?

– Jeszcze krytycy. Nie dają nam żyć.

– Czy to już wszystko?

– I do tego pisarz twierdzi, że boi się upiorów. Po prostu zena-da.

– Czy to już wszystko?

– Mniej więcej. Poradzi sobie pani?

W życiu nie słyszałam głupszego pytania. To było zadanie w sam raz dla Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager.

KONIEC

Lucja Słotka powróci w tomie *Pisarz, który bał się upiorów*